

wprost.

NR 11 (60) CENA 10 ZŁ (W TYM 8% VAT)
19-25.03.2021 ISSN 0209-1747



Polskie Górnictwo Naftowe
i Gazownictwo

Mecenas Teatru Telewizji



Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo od lat wspiera inicjatywy, projekty i wydarzenia promujące polską kulturę wysoką, występując w roli ich sponsora lub organizatora. W poczuciu odpowiedzialności za polskie dziedzictwo kulturalne objęliśmy mecenatem Teatr Telewizji.

Na początek**Szymon Krawiec**[@SzymonKrawiec](#)

Polscy superbohaterowie

Ilustracja na okładce: Paweł Kuczyński

Z maseczką na brodzie, z centymetrem odstępu w kolejce i myślą w głowie, że wirus mnie nie ruszy. To obraz Polaka, superbohatera, któremu pandemia niestraszna. Nawet jak ma objawy: gorączkę, kaszel, duszności, to do szpitala iść nie chce. Woli leczyć się sam. Rosołem, her-

Na początek

bata, witaminą C w tabletkach. Jak już jest bardzo źle i karetka przyjeżdża do domu, to i tak mówi, że sobie poradzi.

*Prosi tylko lekarza, który z ratownikami przyjechał pod jego adres, żeby przepisał mu amantadynę, **BO SĄSIADKA POWIEDZIAŁA**, że po tym wirus przecho-
dzi.*

- Wielu chorych nie chce wykonać testu na COVID. Mimo że źle się czują, nadal negują ciężkość tej choroby, albo leczą się sami, stosując duże dawki witamin. Często domagają się różnych leków, które mają internetową sławę. Za późno trafiają do szpitala, kiedy nie ma już szans na leczenie przeciwwirusowe.
- mówi w rozmowie z Katarzyną Pinkosz prof. Agnieszka Mastalerz-Migas, konsultant krajowa w dziedzinie medycyny rodzinnej.

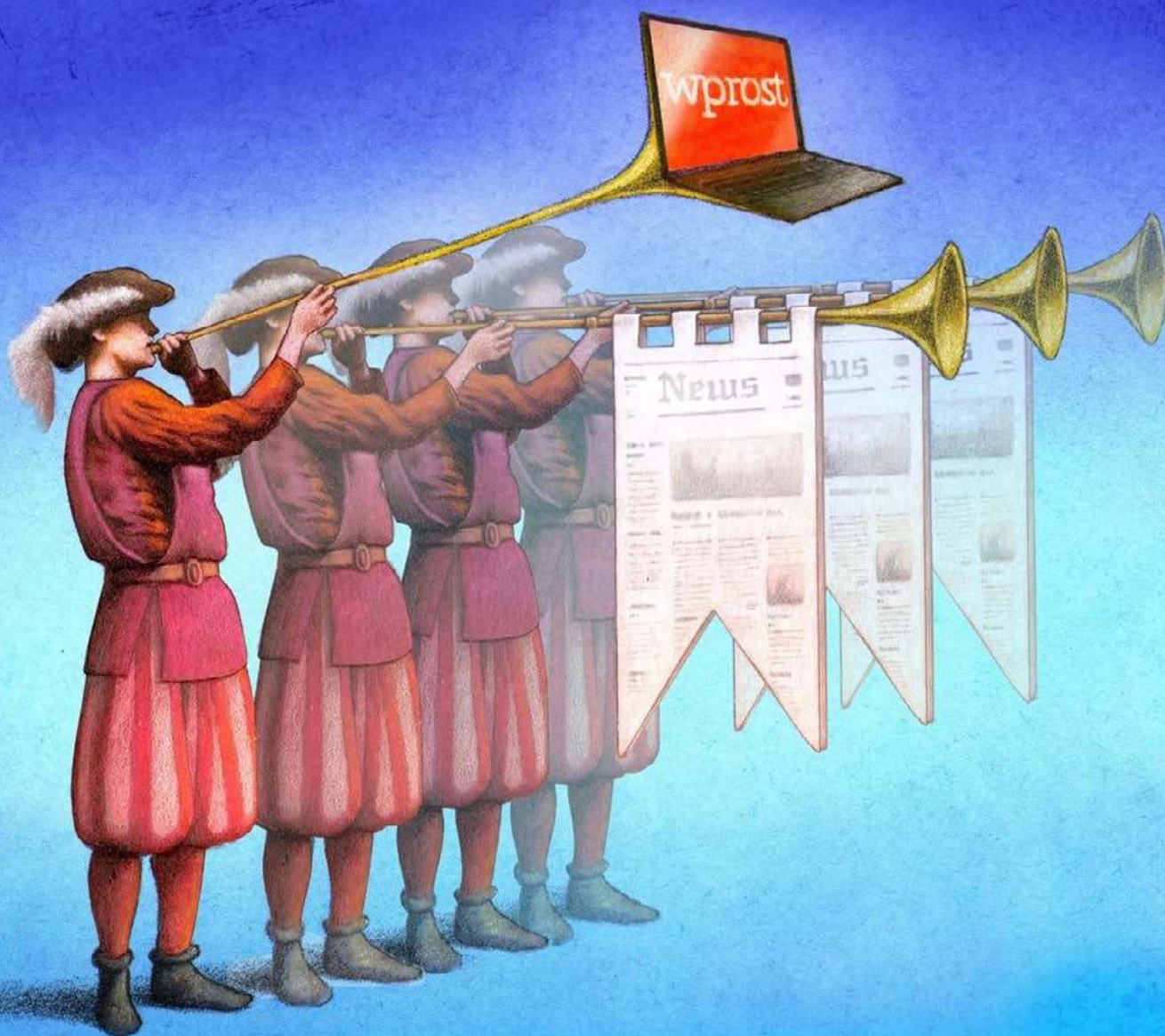
Przez ostatni rok wokół pandemii narosły dziesiątki mitów. Że to wcale nie jest ciężka choroba. Że

Na początek

to taka nieco ostrzejsza grypa. Że dotyka osób starszych i schorowanych. Na tych fake newsach wyrosli nam prawdziwi bohaterowie. Ich odwaga najczęściej kończy się w szpitalu, kiedy podłączeni pod respirator walczą o życie. A znaczna część osób poddana takiemu już ostatecznemu leczeniu, niestety, umiera. 



*Credo: Tylko prawda jest ciekawa,
piszemy o niej w p r o s t*



P. Kuczyński dla Wprost 2020

Czytaj Wprost



28 UKŁADY OPOZYCJI

Opozycja, żeby wygrać przyszłe wybory musiałaby się zjednoczyć. Prawdopodobnych układów jest kilka. Postanowiliśmy sprawdzić, w jakich konfiguracjach połączenia partii są możliwe i jakie mogą być ich konsekwencje.

13 **NIEDYSKRECJE PARLAMENTARNE**

KRAJ

22 **„NOWY ŁAD” CORAZ DALEJ**

PiS przełożył prezentację swojego nowego programu na czas po pandemii koronawirusa – mają się w nim znaleźć rozwiązania dotyczące służby zdrowia, rozwoju, rodziny, przedsiębiorczości.



Fot. Adam Chelstowski/Forum, Grażyna Myślińska / Forum



37 **RZĄD MA PRACOWAĆ, NIE CHOROWAĆ**

W normalnej demokracji rząd, a może i parlamentarzyści powinni być zaszczepieni w pierwszej kolejności. Żeby szybko wrócili do pracy stacjonarnej – mówi prof. Joanna Senyszyn z SLD.

55 **ROZMAWIAM OTWARCIE**

Senator PSL Jan Filip Libicki tłumaczy, jak istotny w podejmowaniu decyzji jest osobisty stosunek do aborcji eugenicznej i jak pomagać osobom z niepełnosprawnością.

SPOŁECZEŃSTWO

73 „MEIN KAMPF” – JAK
ZDEMONTOWAĆ SYSTEM
DEMOKRATYCZNY

Jedna z najbardziej złowrogich książek w historii ludzkości sprzedała się w Polsce już w blisko 20 tys. egzemplarzy. O jej znaczeniu i słabościach mówi prof. Eugeniusz C. Król, tłumacz.

99 SZLACHECKIE
ODRODZENIE

Nową siedzibą rodu Korsaków został dwór, który przez lata popadał w ruinę. Jednak dzisiaj nie każdy szlachcic musi mieć dwór, bo może mieszkać nawet w kawalerce.

132 NIE WSTYDZĘ SIĘ TVP

Potrafię być prezenterem, showmanem, jestem muzykiem popowym. Jestem takim typem „entertainment” – mówi piosenkarz Rafał Brzozowski, który wystąpi w konkursie Eurowizji.

146 NIE MA LITOŚCI DLA PSA



Misiek to pies pomagający trudnej młodzieży w ośrodku OHP. Gdy kierownik ośrodka wystąpił o 150 zł na karmę dla niego, pani komendant odmówiła, a kierownika zwolniła.

BIZNES

156 POKONAJ WYUCZONĄ
BEZRADNOŚĆ

„Z tego nic nie wyjdzie. Już wszystkiego próbowałem. Winni są bankierzy, politycy, nieuczciwi wspólnicy”. Znasz takie myśli? To tzw. wyuczona bezradność.

ZAGRANICA

**167 PARTIA MERKEL
W TARAPATACH**

Chadecy Angeli Merkel tracą poparcie w kolejnych landach. Polityczna emerytura niemieckiej kanclerz może oznaczać także kres dominacji CDU w Niemczech.

**178 WOJNA UNII
ZE SZCZEPIONKĄ**

Straszenie ludzi szczepionką AstraZeneca podważa zaufanie

do programu szczepień. Komisja Europejska poległa na nim z kretesem, ale dziś już nikt nie pyta jej o nieudolność.

ZDROWIE

**187 NIC SAMO
NIE PRZEJDZIE**

Wielu chorych nie chce wykonać testu na COVID i sami się leczą. Do szpitala trafiają, gdy nie ma już szans na leczenie – mówi prof. Agnieszka Mastalerz-Migas.



Fot. Jacek Szydłowski / Forum

KULTURA

201 **ELEKTRYCZNE GITARY
SĄ WIECZNE**

Dr Kuba Sienkiewicz, lekarz neurolog, ale wciąż lider „Elektrycznych Gitar” opowiada o pracy w czasie pandemii i o działalności artystycznej, a także radzi słuchać specjalistów w dziedzinie medycyny.

219 **RĘKA BOGA**

Gol zdobyty przez Maradonę ręką jest legendą piłkarstwa, ale w innych dziedzinach sportu takie przypadki „niehumanitarnej” interwencji też są – nawet w szachach, o czym pisze Garri Kasparow.

FELIETON

232 **MICHAŁ WITKOWSKI**

Fot. Piotr Bułas



Zapraszamy do odwiedzenia nowej strony internetowej CF Source, gdzie znajdą Państwo rzetelne informacje na temat mukowiscydozy.

www.CFsource.pl

©2019 Vertex Pharmaceuticals Incorporated
| PL-20-2000042 | Marzec 2020

CF Source
Provided by
Vertex Pharmaceuticals

VERTEX
THE SCIENCE of POSSIBILITY

eprasa.pl d66f8c1974

To nieprawda, że...

*Niedyskrecje
parlamentarne*

M₂S_{VS}

N

C^M

B

Z

a

V

N

P

U

z

C

B

S

To nieprawda, że...



To nieprawda, że...**Joanna Miziołek**

🐦@JMiziolek

**Eliza Olczyk**

Rząd wyciszył sprawę podatku od reklam, który niedawno wzbudził tyle emocji w mediach patrzących władzy na ręce. Nie, obóz rządzący nie wystraszył się wspólnej akcji protestacyjnej mediów, ani nawet debaty w Parlamencie Europejskim. – To gniew Amerykanów był przesądzający – opowiada nasz informator z obozu Zjednoczonej Prawicy. Otóż administracja amerykańska uznała, że PiS celowo wrzuciło do debaty publicznej temat podatku od

To nieprawda, że...

reklam w momencie, gdy nie było w Polsce urzędującego ambasadora USA. – Amerykanie uznali, że sojusznik chciał ich nieładnie ograć i podobno dali już wyraz swojemu niezadowoleniu – dodaje nasz rozmówca. Jednak – według naszego informatora – Jarosław Kaczyński i tak będzie chciał przeforsować ten podatek. Uważa, że jeżeli za dwa lata będzie miał część mediów przeciwko sobie, to przegra wybory i straci władzę.

Czy Jarosław Kaczyński realnie bierze pod uwagę doproszenie do rządu Zjednoczonej Prawicy Pawła Kukiza? – Rozmowy z Kukizem są zaawansowane. Poważnie rozważmy dołączenie go do rządu – mówi polityk z otoczenia prezesa PiS. Ale rozmowy na temat transferów trwają nie tylko z Kukiz’15, ale również z ludowcami. – Słyszałem, że politycy PiS od kilku tygodni namawiają polityków PSL do przejścia, oferując w zamian stanowiska. Widać, że Kaczyński szuka innych koalicjantów – mówi polityk KO.

To nieprawda, że...

Zdaniem naszego kolejnego rozmówcy wymiana koalicjanta jest bardziej możliwa

wcale nie w przypadku Solidarnej Polski, a Porozumienia. I tłumaczy nam, dlaczego Adam Bielan zaangażował się w akcję odsuwania Jarosława Gowina od władzy w partii. – Adam nie miał wyboru, bo wiedział, że Kaczyński – jeśli nie teraz, to za rok, półtora – wyrzuci z rządu Gowina. I wtedy Bielan sam będzie miał kłopot, bo zostanie uznany za nielojalnego, że nie wypełnił zadania prezesa – mówi polityk Zjednoczonej Prawicy. „Gowin w rządzie pokazuje dziś postawę biernej agresji”.

Dawno zapomniany przez wszystkich Antoni Macierewicz wciąż zakulisowo działa w rządzie.

I to nie byle gdzie, bo w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. – Antoni razem z Piotrem Naimskim świadomi tego, że Zbigniew Rau nie jest silnym ministrem, zaczęli przy nim mieszać. I to oni mają odpowiadać za ostatnią ustawę o służbie

To nieprawda, że...

zagranicznej – mówi nasz informator. Dokument został mocno skrytykowany przez opozycję ze względu na fakt, że w świetle ustawy od ambasadorów nie wymaga się znajomości języków obcych i innych kwalifikacji. MSZ dementował te informacje ustami Marcina Przydacza, wiceszefa MSZ: – Wymagania dla ambasadorów pozostają takie same. Czyli innymi słowy, wcześniej też nie wymagano od ambasadorów znajomości języków obcych i kwalifikacji.

Politycy wszystkich opcji coraz bardziej ekscytują się nadchodzącymi wyborami na prezydenta Rzeszowa. Po tym, gdy ustępujący ze stanowiska Tadeusz Ferenc udzielił poparcia Marcinowi Warchołowi z Solidarnej Polski, na scenie politycznej zapanowała pewna konsternacja. PiS zamierza zgłosić własnego kandydata do tych wyborów. Według nieoficjalnych informacji będzie to Ewa Leniart, podkarpacki wojewoda, ale poparcie Ferenc ma swoją wagę. Podobno kandydat obozu rządzącego ma

To nieprawda, że...

rzucić na szalę fundusze na budowę biogazowni – inwestycji zapowiadanej już w 2019 roku. Plotka głosi, że premier obiecał to Warchołowi, ale teraz nie wiadomo, czy przypadkiem nie będzie to atut Leniart, bo zwycięstwo Warchoła za bardzo wzmocniłoby Zbigniewa Ziobrę.

Opozycja jeszcze nie ogłosiła, kogo poprze i czy będzie to tylko jeden kandydat. Kilka mediów informowało, że spore szanse ma Konrad Fijołek, szef klubu radnych Rozwój Rzeszowa, mającego większość w radzie miasta. Koalicja Obywatelska rozważa poparcie jego kandydatury, a podobno i Szymon Hołownia chciałby na niego postawić. – Ludzie Hołowni dzwonili do Fijołka z pytaniem, czy mogą go poprzeć, bo swojego kandydata nie mają – śmieje się nasz rozmówca z opozycji.

Wiosna Roberta Biedronia ogłasza nabór do swojej partii. Niby to nic nadzwyczajnego, ale chodzi o partię, która za kilka miesięcy ma zniknąć ze

To nieprawda, że...

sceny, bo połączy się z SLD pod szyldem Nowa Lewica. Tymczasem Paulina Piechna-Więckiewicz ogłosiła, że została koordynatorką Wiosny w Warszawie i zaprasza do współpracy wszystkich zainteresowanych. Czy to znaczy, że Wiosna zrezygnowała z fuzji z SLD? – Nie, moim zdaniem oznacza to tylko pompowanie struktur przed kongresem, na którym ma dojść do połączenia, ale niewiele to da Wiośnie, bo jest 10 razy mniejsza niż Sojusz – mówi polityk SLD. Termin kongresu zjednoczeniowego był już kilkakrotnie przesuwany ze względu na to, że ciągle nie ma prawomocnej decyzji sądu, która jest niezbędna, by doszło do zmiany nazwy SLD na Nową Lewicę. Najnowszy termin to czerwiec tego roku, ale nie wykluczone, że dojdzie do niego dopiero we wrześniu.

Chaos na lewicy pogłębia fakt, że z jednej frakcji w europarlamencie powstały dwie.

Marek Belka powiedział w Radiu Zet, że obie delegacje trochę się różnią „jeżeli chodzi o priorytety”. –

To nieprawda, że...

Moim zdaniem te różnice są fundamentalne. Włodek Czarzasty dał się uwieść hasłom lewicy obyczajowej. Byli premierzy opowiadają się za partią, która stawia na sprawy społeczne. A te dwa elektoraty w żaden sposób nie dadzą się połączyć pod jednym szyldem – mówi polityk Sojuszu. 

„NOWY ŁAD” CORAZ DALEJ

Fot. Marcin Kalinski/PAP

<< SPIS TREŚCI

NASTĘPNY ARTYKUŁ >



– **80 PROC. POLAKÓW ZYSKA NA ZMIANACH PODATKOWYCH, KTÓRE WPROWADZI „NOWY ŁAD”.** Częściowo odczują je osoby zarabiające kilkanaście tysięcy złotych miesięcznie, a mocno stracą ci, którzy zarabiają kilkadziesiąt tysięcy złotych – mówi polityk z otoczenia Jarosława Kaczyńskiego.



Tekst: **Joanna Miziołek**

Nowy Ład” to nowy program PiS na czas po pandemii koronawirusa, który, według najnowszych doniesień, ma zostać zaprezentowany w kwietniu. Mają się w nim znaleźć rozwiązania dotyczące służby zdrowia, rozwoju, rodziny, przedsiębiorczości.

Według naszych informacji najbliższe otoczenie prezesa PiS uważało, że ogłoszenie programu należy

przełożyć o miesiąc, bo obecna sytuacja epidemiczna nie sprzyja komunikowaniu dobrych informacji dotyczących gospodarki.

– Radziłem, żeby „Nowy Ład” ogłosić zaraz po nowym roku, bo to dobry moment, żeby zapowiadać plany na przyszłość. Obecnie mamy sytuację, w której liczba zachorowań i zgonów rośnie, więc nie jest to najlepszy czas na takie wiadomości. Choć z drugiej strony wobec szalejącej epidemii, ciągle nie ma dobrego czasu na ogłoszenie programu. Poza tym

„*ludzie Morawieckiego chcą zrobić to szybko, żeby **UNIKNAĆ KOLEJNYCH PRZECIEKÓW INFORMACJI** dotyczących tego, co będzie w „Nowym Ładzie” – mówi polityk z otoczenia prezesa PiS.*

Lek na obawy Polaków

Program ma być odpowiedzią na największe obawy Polaków, które pojawiły się wraz z pandemią.

– Z naszych wewnętrznych badań wynika, że ludziom dziś najbardziej brakuje poczucia bezpieczeństwa. Wyrażają duży niepokój dotyczący przyszłości. Co ciekawe, mimo tego, że bezrobocie u nas nie rośnie, to w badaniach wychodzi, że Polacy boją się utraty pracy. A to wynika z tego, że ciągle docierają do nich sygnały o „nowej normalności” po pandemii. Obawiają się tego – mówi nasz rozmówca.

Według naszych informacji zapowiadane zmiany w podatkach mają przynieść rewolucję. – 80 proc. Polaków zyska na zamianach podatkowych, które wprowadzi „Nowy Ład”. Częściowo odczuwają je osoby zarabiające kilkanaście tysięcy złotych miesięcznie, a mocno stracą ci, którzy zarabiają kilkadziesiąt tysięcy złotych – mówi nasz informator. Zmiany w podatkach mają wejść w życie od nowego roku. – Ci, którzy zyskają na zmianach podatkowych odczuwają je na trochę ponad rok przed wyborami – mówi nasz rozmówca. Z informacji, które pojawiły się już w mediach wynika,

że podniesiona ma zostać również składka zdrowotna.

Kontrowersje i zapowiedzi

„Nowy Ład” nie został jednak bezkrytycznie przyjęty wśród koalicjantów w rządzie. Co ciekawe, więcej uwag zgłosiło do niego Porozumienie Jarosława Gowina, niż Solidarna Polska. – Gowin chce, by Kaczyński oficjalnie uznał go szefem Porozumienia, więc urażony zgłosił kilka merytorycznych uwag.

*„Ziobro sprzeciwia się tylko kwestiom dotyczącym polityki energetycznej, ale jej realizacja, to odległa przyszłość, a **DO RESZTY NIE MA ZASTRZEŻEN** – mówi nasz informator.*

Twierdzi też, że wraz z ogłoszeniem „Nowego Ładu” ma ruszyć szereg konferencji prasowych prezentujących jego założenia. – Nowy Ład jest kom-

pleksowym programem, którego nie da się prosto podsumować jak „Piątkę Kaczyńskiego” – mówi.

Już w sobotę PiS zaczęło wielkie odliczanie do startu programu „Polski Nowy Ład”. Ma się poruszać w kilku obszarach, to: „Plan na zdrowie”, „Uczciwa praca - godna płaca”, „Dekada rozwoju”, „Rodzina i dom w centrum życia”, „Polska - nasza ziemia”, „Przyjazna szkoła i kultura na nowy wiek”, „Dobry klimat dla firm”, „Czysta energia, czyste powietrze”, „CyberPoland 2025” oraz „Złota jesień życia”. 



**KOALICJA
OBYWATELSKA**



2050



UKŁADY OPOZYCJI



Porozumienie
Jerzy Gowin



LEWICA

*Opozycja, żeby wygrać przyszłe wybory musiałby się zjednoczyć. My postanowiliśmy sprawdzić w jakich konfiguracjach połączenie partii jest możliwe. **OTO WSZYSTKIE UKŁADY NA OPOZYCJI.***



Tekst: **Joanna Miziołek**

Trwa kluczowy spór między dwiema partiami Platformą Obywatelską i Polską 2050 Szymona Hołowni, które notują największe poparcie sondażowe. Dotyczy tego, która z nich będzie główną siłą opozycyjną. Oraz tego, która z nich będzie miała większą zdolność koalicyjną. Obie partie walczą o ten sam elektorat, więc na dziś wątpliwa wydaje się ich przyszła współpraca.

Możliwe koalicje w obozie opozycji



Trzaskowski firmuje trwanie Budki

Koalicja Obywatelska ma obecnie dwóch liderów, tego oficjalnego, czyli Borysa Budkę i Rafała Trzaskowskiego, który wygrywa na opozycji w rankingach zaufania. – Rafał nie chce zostać szefem partii, dlatego wspomaga wizerunkowo Borysa, by ten utrzymywał się u władzy. Dzięki temu ma wygodną pozycję, z poziomu której może doradzać kiedy chce – mówi polityk PO. I dodaje, że za kierunek w którym podąża Platforma odpowiada prezydent Warszawy, którego głos ma kluczowe znaczenie podczas podejmowania strategicznych decyzji dla partii. Tak było choćby podczas określenia stanowiska ugrupowania w sprawie liberalizacji aborcji.

Jednak mimo ideowego skrętu w lewo, KOALICJA OBYWATELSKA NIE POTRAFI SIĘ POROZUMIEĆ Z LEWICĄ. – Włodzimierz Czarzasty nie chce rozmawiać o współpracy z Borysem Budką.

Dla niego partnerem do rozmowy był Grzegorz Schetyna – mówi jeden z naszych rozmówców. Między innymi z tego powodu, paradoksalnie, Koalicja Obywatelska nie ma dziś tak dużych zdolności koalicyjnych jak w 2019 roku.

Polska 2050 Szymona Hołowni rywalizuje dziś z KO o ten sam elektorat, co sprawia, że trudno będzie im startować ze wspólną listą. Już dziś widać, że kierownictwo Platformy Obywatelskiej coraz chętniej zerka w stronę ludowców. W ostatnim czasie obie partie wspólnie ogłosiły warunki dla poparcia funduszu odbudowy UE. Ogłosiły też wspólnego kandydata na RPO, Sławomira Patyrę. Póki co to PSL jest najbardziej prawdopodobnym koalicjantem Koalicji Obywatelskiej.

Hołownia jako lepsza PO

Rywalizująca o miejsce głównej opozycyjnej partii Polska 2050 Szymona Hołowni w niektórych sondażach przekakuje w poparciu Koalicję Obywatelską. Na tę chwilę ma też większe od niej zdolności koali-

cyjne, bo dziś jednym z rozważanych scenariuszy jest stworzenie bloku opartego o partię Hołowni, PSL i Porozumienie Jarosława Gowina.

– Taki konserwatywno-centrowy blok miałby realne szanse na powalczenie z listą Zjednoczonej Prawicy. Poza tym poprzednie wybory pokazały nam, że większe możliwości zdobycia poparcia mają dwie listy niż jedna – twierdzi polityk PSL. Co ciekawe Szymon Hołownia na wybory może zawrzeć o wiele szerszy sojusz sięgający nawet po Lewicę. – Ma u siebie posłanki o lewicowych poglądach, więc niewykluczone, że w imię budowania szerokiej listy opozycji doszłoby do współpracy między Hołownią i Lewicą – mówi jeden z naszych rozmówców.

Szymon Hołownia jest bardzo ostrożny w rozmowach o politycznej współpracy z innymi partiami – zastrzega nasz rozmówca i dodaje: – On stara się nie wchodzić w takie dyskusje. Z żadną partią nic nie uzgodnił do tej pory, bo boi się oskarżeń ze strony wyborców, że dogaduje się z partiami, które już były u władzy.

PSL może z każdym

Określanie ludowców mianem partii obrotowej wciąż jest aktualne. Wydawać by się mogło, że PSL-owi najbliższej dziś do Szymona Hołowni, który podobnie jak partia Władysława Kosiniaka-Kamysza ogłosił, że w sprawie aborcji opowiada się za referendum. Ale z Platformą ludowcy mają wspólne stanowisko w kilku sprawach. Jednak jak twierdzi nasz rozmówca z PSL-u najlepiej na poziomie parlamentarnym współpracuje się z Lewicą.

– Czarzasty to doświadczony, pragmatyczny polityk, który potrafi wyjść ponad swoje sympatie i antypatie dla dobra sprawy – mówi polityk PSL. I zdradza, że Platforma Obywatelska zmieniła nastawienie we współpracy z ludowcami na lepsze. – Byliśmy zupełnie zaskoczeni, kiedy kilka miesięcy temu do naszego klubu przyszedł Rafał Trzaskowski z Borysem Budką i zaproponowali, żebyśmy wysłali wspólny list gratulacyjny do nowego prezydenta USA Joe Bidena. Nie

skorzystaliśmy z tej propozycji, niemniej był to miły gest ze strony Platformy – mówi nasz rozmówca.

Lewica musi się odróżniać od Platformy

Ostatnia deklaracja Lewicy dotycząca poparcia w Sejmie Krajowego Planu Odbudowy wzbudziła konsternację na opozycji. Okazuje się jednak, że wsparcie w tej kwestii PiS jest świadomą strategią partii ustaloną w kierownictwie.

– *Włodzimierz Czarzasty dogadał się z Adrianem Zandbergiem, że muszą odróżniać się od Platformy, bo inaczej*
BĘDĄ TRACIĆ POPARCIE *na jej rzecz.*

Lewica ma tę przewagę nad innymi partiami, że może iść sama do wyborów w lewicowym bloku. Jeśli teraz wysłałaby sygnał do swoich wyborców, że współpracuje z Platformą Obywatelską, upodabnia się do niej, to jej poparcie spadłoby do poziomu

4 proc. A tak może liczyć na wynik w okolicy 12 proc. – twierdzi nasz rozmówca z Lewicy. I dodaje:
– Oczywiście Lewica może pójść też w szerokim bloku opozycyjnym, ale do momentu kampanii nie może pokazywać, że współpracuje z PO i jest do niej podobna – twierdzi. 



RZĄD MA PRACOWAĆ, NIE CHOROWAĆ

*W normalnej demokracji **RZĄD, A MOŻE I PARLAMENTARZYŚCI POWINNI BYĆ ZASZCZEPIENI W PIERWSZEJ KOLEJNOŚCI.** Żeby szybko wrócili do pracy stacjonarnej, prowadzili debaty nad projektami ustaw, dyskutowali twarzą w twarz na posiedzeniach komisji. Wiele głosowań mogłoby się skończyć inaczej. (...) Nie ma chyba innej grupy społecznej z tak wysokim wskaźnikiem zachorowań – mówi „Wprost” **PROF. JOANNA SENYSZYN.** Posłanka SLD irytuje się też, że politycy ignorują ostrzenia. Tłumaczy, że sama „od roku nie była ani razu w centrum handlowym” a na turnus rehabilitacyjny jeszcze przyjdzie jej poczekać.*



Rozmawiała **Agnieszka Niesłuchowska-Szczepańska**

Wielu seniorów wciąż czeka w kolejce na szczepienie przeciw COVID-19. Pani też?

Szczęśliwie jestem po szczepieniu i z przerażeniem obserwuję niewyobrażalny bałagan wynikający z braku organizacji, a wcześniej – wyobraźni. Od wiosny było wiadomo, że najpóźniej w styczniu 2021 r. będą szczepionki. Niestety rząd, choć miał 9 miesięcy na przygotowanie sensownego programu szczepień, ograniczył się do nadania mu dumnej nazwy „narodowego”. Pominąwszy grupę „zerową”, w kolejnych ciągle są zmieniani beneficjenci i to bez uwzględniania rzeczywistych priorytetów. Wciąż nie wiemy, kiedy będą szczepieni sześćdziesięciolatkowie, osoby z niepełnosprawnościami... Internetowe zapisy okazały się zbyt skomplikowane dla części seniorów. Na to nałożył się brak szczepionek i ich złe rozdzielenie. Przychodnie dostają zaledwie po 30 szczepionek tygodniowo, a w szpitalach węzłowych stoją kolejki. Bałagan częściowo jest z głupoty, ale chodzi też o pieniądze. Szczepienia to dobry interes.

Pani partyjny kolega, Leszek Miller zaszczepił się przed kolejnością, a ostatnio mówił w Interii, że skoro zaproponowano mu szczepienie, skorzystał. „To tak, jakbym uważał, że jest coś niewłaściwego w tym, że jedni są obsługiwani lepiej, inni gorzej. Tak po prostu jest” – wyznał.



Joanna Senyszyn

– profesor nauk ekonomicznych, profesor zwyczajny Uniwersytetu Gdańskiego, w latach 1994–1995 rektor Wyższej Szkoły Administracji i Biznesu w Gdyni. Posłanka na Sejm 2001–2009 i od 2019, deputowana do Parlamentu Europejskiego 2009–2014. W latach 2005–2008 oraz 2011–2016 wiceprzewodnicząca SLD. Publicystka, autorka prac naukowych.

Leszek Miller mógł spokojnie poczekać na szczepienie w swojej grupie wiekowej. Nic by się nie stało. Politycy są najbardziej nielubianą grupą zawodową w Polsce i podlegają zmasowanej krytyce. Równocześnie oczekuje się od nich zdrowia i pracy, najlepiej 24 godziny na dobę. Dlatego w normalnej demokracji rząd, a może i parlamentarzyści powinni być zaszczepieni w pierwszej kolejności.

A to dlaczego?

Żeby szybko wrócili do pracy stacjonarnej, prowadzili debaty nad projektami ustaw, dyskutowali twarzą w twarz na posiedzeniach komisji. Wiele głosowań mogłoby się skończyć inaczej. Czasem do uchwalenia korzystnych dla Polaków ustaw lub poprawek wystarczyłaby nieobecność kilku posłów PiS, a zdalnie, jak ich brakuje, marszałek czeka z głosowaniami. Wśród posłów jest bardzo dużo zachorowań na COVID-19, bo kontakty z wyborcami to istota naszej pracy. W moim klubie chorowało 36 proc. składu. Nie ma chyba innej

grupy społecznej z tak wysokim wskaźnikiem zachorowań. Wirus paraliżuje też pracę rządu.

To tu mnie pani zaskoczyła.

Jako matka terminu „kacyzm”, jestem słusznie utożsamiana z krytyką ich autorytarnych rządów, ale przecież mają pracować, nie chorować. Zresztą

nie wykluczam, że zaszczepili się cichcem. Uczciwiej by było, gdyby to zrobili oficjalnie. Polacy by to zrozumieli, bo
JESTEŚMY MĄDRYM NARODEM.

A pani nie sądzi, że rząd powinien być szybciej szczepiony, to raptem 100 osób? Choć może faktycznie nie ten rząd. Akurat oni, im mniej pracują, tym mniej szkód narobią.

Jest wiele grup, które bardziej tego potrzebują, na przykład pacjenci z ciężkimi chorobami.

Równie dobrze można zapytać, dlaczego służby mundurowe są w kolejce przed osobami z niepełnosprawnościami czy chorobami onkologicznych

mi? Dlaczego w grupie „zero” byli pracownicy np. PZU-Zdrowie, Sanepidu, którzy nie mają żadnego kontaktu z petentami i wszystko załatwiają zdalnie? To poważne błędy w programie szczepień. Jest ich bardzo dużo. Zafałszowany jest cały obraz pandemii. W rzeczywistości jest więcej zachorowań i zgonów na COVID, a jeszcze więcej z powodu niedoinwestowania i paraliżu ochrony zdrowia.

Paweł Kukiz mówił ostatnio „Wprost”, że nie widzi geniuszy, którzy mogliby przejąć władzę w pandemii i rządzić skuteczniej niż robi to PiS.

Kukiz w ogóle niewiele widzi. Po wyrzuceniu z Koalicji Polskiej szuka dla siebie miejsca. Widocznie uznał, że najpewniejszy jest start z list PiS, więc przymila się prezesowi, chwając rzekomą skuteczność Morawieckiego&company. Naprawdę całą wiosnę ubiegłego roku rząd zajmował się wyborami prezydenckimi, szemranymi interesami, zakupem trefnych maseczek od instruktora narciarskiego czy respiratorów od handlarza bronią. Do dziś

nie wiadomo, co się stało z 80 tonami towaru przywiezionego z Chin największym samolotem świata. Do Polaków dotarła tylko transmisja z jego uroczystego powitania przez członków rządu. To wstyd, że Polacy są tak źle rządzeni.

Wydaje się jednak, że opozycja nie ma pomysłu na rządzenie Polską, jest skupiona na własnych problemach. U was też spójności nie widać.

Nie mamy innych problemów niż te, które dotyczą Polski i Polaków. Robimy to, co należy do konstruktywnej opozycji. Złożyliśmy kilkadziesiąt projektów ustaw, które rozwiązują wiele codziennych bolączek, ale większość nie dostała nawet numeru druku, co jest warunkiem dopuszczenia ich do procedowania. Piszemy poprawki, interpelacje, zapytania. Robimy poselskie interwencje i kontrole. PiS zlikwidowało sejmowe debaty. Kaczyński traktuje opozycję jak zbędny balast, a z Klubu Zjednoczonej Prawicy zrobił bezmyślną, maszynkę do uchwalania swoich ustaw. Ale ostatnio coś zaczyna się psuć. Może będą wcześniejsze wybory.

Co dzieje się na lewicy? Mówicie o sobie Nowa Lewica, ale przecież decyzja sądu w sprawie nazwy wciąż nie jest prawomocna.

Już jest, ale nazwa ma znaczenie drugorzędne. I jako partia, i jako klub parlamentarny po prostu robimy swoje.

Pani zaangażowała się w walkę z Kościołem i liberalizację przepisów aborcyjnych. Co udało się pani wywalczyć?

Wywalczyliśmy społeczną dyskusję, a w jej wyniku liberalizację poglądów Polaków na prawa kobiet. Ponieważ debata na ten temat nie jest dopuszczona w Sejmie, odbywa się na ulicach. Jestem w Komitecie Inicjatywy Ustawodawczej „Legalna aborcja. Bez kompromisów” i zbieramy podpisy pod społecznym projektem nowej ustawy. Sukces przyjdzie, bo – jak mawiał Wiktor Hugo – idea, której czas nadszedł, jest silniejsza od wszystkich armii świata. Od Policji też!

Włodzimierz Czarzasty stanie na czele Nowej Lewicy?

Decydujący jest głos Polaków, a nasza wspólna lista: SLD-Wiosna-Razem **ODNIOŚŁA WYBORCZY SUKCES.** Mamy 50 pralamentarzystów i dobrze się w klubie dogadujemy.



Cały czas stoi, bo Nowa Lewica to zmieniona nazwa SLD.

Nie wszystkim politykom Sojuszu – np. Leszkowi Millerowi – podoba się ten mariaż SLD z Wiosną.

Decydujący jest głos Polaków, a nasza wspólna lista: SLD-Wiosna-Razem odniosła wyborczy sukces. Mamy 50 parlamentarzystów i dobrze się w klubie dogadujemy.

Leszek Miller dość często wbija szpile Włodzimierzowi Czarzastemu.

Popierał Włodka w czasie wyborów na przewodniczącego partii, to był jego kandydat.

Tak dobrze to się nie dogadujecie, co widać nawet w Brukseli. Przypomnę, że Leszek Miller nie chciał być w jednej delegacji w PE z Robertem Biedroniem.

Zaskoczyły mnie dwie delegacje w grupie socjalistów. Może to nowa świecka tradycja? (śmiech).

Tymczasem w „Super Expressie” pojawiły się plotki, że doszło do spotkania Roberta Biedronia z Rafałem Trzaskowskim? Podobno dyskutowali o wspólnej inicjatywie – bez udziału PO i SLD.

Tylko oni wiedzą, o czym rozmawiali, znają się od dawna. Nie wydaje się prawdopodobne, by wiceprzewodniczący PO, która ciągle ma niezłe notowania, rozważał tworzenie nowej partii.

A szersza współpraca KO z Nową Lewicą jest rozważana?

Współpraca o charakterze programowym oczywiście jest i będzie. Wiele projektów ustaw jest popieranych przez całą opozycję. Jeszcze częściej ręka w rękę głosujemy przeciw szkodliwym pomysłom PiS. Ale koalicje typu „Huzia na Józia”, wszyscy przeciw PiS, są z piekła rodem.

Nowa Lewica nie będzie niczym różnić się od SLD?

Program przedstawiliśmy w 2019 r. Zyskał aprobatę wyborców, więc jest kontynuowany. W 70 proc. dotyczy kwestii gospodarczych i społecznych, w 30 proc. światopoglądowych. To dobra proporcja.

A jednak mam wrażenie, że to głównie te światopoglądowe projekty są ostatnio przez was podejmowane.

62 proc. Polaków chce świeckiego państwa, 75-80 proc. domaga się likwidacji przywilejów finanso-

wych Kościoła. Nasze projekty są odpowiedzią na społeczne zapotrzebowanie. Akurat utrzymywanie Kościoła z budżetu państwa to sprawa gospodarcza, nie ideologiczna. Jeśli projekt, którego jestem współautorką, zostanie uchwalony, skończą się zwolnienia podatkowe kościelnych osób prawnych, przekazywanie im ziemi za 1 proc. wartości, opłacanie religijnej indoktrynacji. Budżet państwa zyska co najmniej 8-9 mld zł rocznie, samorządy drugie tyle. Pieniądze będzie można przeznaczyć na organizacje społecznie użyteczne. Kościół od dawna taką nie jest.

Czy w Nowej Lewicy wciąż jest miejsce dla starszych działaczy Sojuszu, czy jednak definitywnie się od nich odetniecie?

„NIE ODETNĘ SIĘ OD SIEBIE, *Włodek chyba też nie. Większość posłów Nowej Lewicy i część Wiosny to działacze SLD. Łączenie młodości z doświadczeniem dobrze nam wychodzi.*

Aleksander Kwaśniewski, mówił jednak we „Wprost”, że ani Miller, ani nikt z tego pokolenia nie zyska nowych wyborców, a rozwój może nastąpić tylko przez młodych.

Jako naukowczyni przeprowadzam badania, również na sobie. Mam wielu młodych asystentów w okręgu wyborczym, ale i w Krakowie, Poznaniu, Londynie. Cenią mnie jako polityczkę, chcą się ode mnie czegoś nauczyć. Zazwyczaj młodzi głosują na starszych, a starsi na młodych, bo chcieliby mieć takie dziecko czy wnuka. Stereotypy, o których mówi Kwaśniewski są nieprawdziwe. Tak samo jest z orientacją seksualną, która nie determinuje poglądów politycznych. Gdyby społeczność LGBT głosowała na program reprezentujący jej interesy, czyli na nas, mielibyśmy ekstra 2,5-3 mln głosów i wygrywalibyśmy każde wybory.

Dwa lata temu przeszła pani poważną operację. Jak pani się czuje?

Dawno zapomniałam o złamaniach i operacjach, ale dziękuję za troskę. Teraz życie komplikuje mi, jak wszystkim, koronawirus.

To znaczy?

Brakuje mi dawnego życia: ciągłych kontaktów z ludźmi, podróży, sejmowych debat, konferencji naukowych, dużych spotkań towarzyskich. Ponieważ trudno mi się zmobilizować do samodzielnych ćwiczeń i zawsze znajduję jakiś pretekst, żeby je odłożyć na później, powinnam co pół roku pojechać na 2-3 tygodniowy turnus rehabilitacyjny, ale teraz to też jest utrudnione. W czerwcu ubiegłego roku wyznaczono mi termin – na wrzesień 2022.

Minął rok odkąd zaczęła się epidemia. Jak pani znosi izolację?

Przestrzegam zasad, od marca ubiegłego roku nie byłam ani razu w centrum handlowym, wychodzę wtedy, kiedy to niezbędne, ale jestem coraz bardziej zmęczona.

Inni politycy jednak szczególnie obostrzeniami się nie przejmują.

Jadwiga Emilewicz jeździ z synami na narty, Krystyna Pawłowicz z obstawą do sanatorium, Andrzej

Duda na sygnale na narty. Z bezczelności, bezmyślności, głupoty psują opinię wszystkim politykom i demoralizują społeczeństwo. Jako nauczycielka wiem, że można uczyć tylko własnym przykładem, a oni uczą wszystkiego, co najgorsze.

Ktoś pani pomaga w robieniu zakupów, w codziennych obowiązkach?

Wspiera mnie mąż, przyjaciele, znajomi, asystenci.

Mąż pani nie mówi: zwolnij?

Wręcz przeciwnie! Ma 76 lat, prowadzi kancelarię adwokacką i nie wyobraża sobie, że mogłoby go nie być na sali sądowej, a mnie w polityce. W Japonii połowa rozwodów następuje, gdy małżonkowie przechodzą na emeryturę. Gdy wreszcie mogą być ze sobą dłużej okazuje się, że trudno im wytrzymać pod jednym dachem. Po 44 latach małżeństwa, w tym 20 „z doskoku”, wolę nie ryzykować.

I odbiło się to na pani zdrowiu.

Ale całe życie lubię to, co robię i robię to, co lubię. Na Uniwersytecie Gdańskim pracowałam 47 lat,

ostatnie 25 także w polityce. Jesienią 2019 r. moje mianowanie na stanowisko profesora zwyczajnego – zgodnie z ustawą – wygasło, a posłowanie wróciło. Od kilku miesięcy wydajemy z grupą przyjaciół tygodnik opinii „Fakty po Mitach”, do którego co tydzień piszę dwa teksty. Praca mnie kocha. Marzę o urlopie.

A gdzie by pani na ten urlop się wybrała?

Do ciepłych krajów, ale w ramach Unii, bo w czasie pandemii wyruszanie dalej nie jest bezpieczne. 

Wejdź na stronę: www.kruchekosci.pl

Kruche kości – osteoporoza

Co to jest za choroba?

Kiedy i jak się ją diagnozuje?

Kto jest najbardziej zagrożony osteoporozą?

Czy grozi Ci osteoporoza?



Zrób jednominutowy test
ryzyka osteoporozy



Poznaj historie innych
i dowiedz się jakie są czynniki ryzyka

Masz już osteoporozę?

Dowiedz się jakie są sposoby
leczenia osteoporozy

Czy i jakie ćwiczenia możesz wykonywać?

Jakie są zalecenia dietetyczne –
co służy, a co szkodzi Twojemu zdrowiu?

Te i wiele innych, praktycznych informacji
znajdziesz na stronie internetowej:

www.kruchekosci.pl

Kraj

Fot. Lukasz Cynalewski / Agencja Gazeta

<< SPIS TREŚCI

NASTĘPNY ARTYKUŁ >

ROZMAWIAM OTWARCIE

*Nie jestem drugim Wojciechem Kałużą – mówi **SENATOR PSL JAN FILIP LIBICKI**, który ogłosił niedawno, że rozważa poparcie kandydatury zgłoszonego przez klub PiS posła Bartłomieja Wróblewskiego na urząd Rzecznika Praw Obywatelskich. Polityk z niepełnosprawnością tłumaczy też, jak **ISTOTNY W PODEJMOWANIU DECYZJI JEST OSOBISTY STOSUNEK DO ABORCJI EUGENICZNEJ** i dlaczego w postępowaniu z osobami z niepełnosprawnością kluczowe jest zrozumienie.*



Rozmawiał **Dariusz Grzędziński**

Podjął pan już decyzję na temat swojej przyszłości i tego, jak będzie głosował w sprawie nowego Rzecznika Praw Obywatelskich?

Nie. Podejmę ją między 9 a 12 kwietnia.

A czy czuje się pan ofiarą nagonki od momentu, kiedy pierwszy publicznie powiedział, że nie wyklucza poparcia kandydata PiS na RPO – posła Bartłomieja Wróblewskiego?



Jan Filip Libicki

– historyk i polityk. Poseł na Sejm w latach 2005-2007 i 2008-2011. Od 2011 senator. Był członkiem ZChN, PiS, PO i innych partii. Od 2018 członek PSL.

Niespecjalnie, bo gdybyśmy te nagonki liczyli, to byłaby już szósta w moim politycznym życiu.

Można się przyzwyczaić?

Coś, co powtarza się już szósty raz, przyjmuję jako zjawisko znane.

Czyta pan jednak, choćby w mediach społecznościowych, inwektywy pod swoim adresem? „Bezwzględny”, „bez serca”, „bezduszny” – to te łagodniejsze, nadające się do cytowania.

*Jeżeli ci państwo, którzy tak piszą, uważają, że stojąc po stronie pośła Wróblewskiego, który doprowadził do orzeczenia TK w sprawie aborcji eugenicznej, jestem bez serca, to **MAJĄ PRAWO TAK UWAŻAĆ.***

To mój stały pogląd w życiu politycznym. Nigdy go nie zmieniłem i mam nadzieję, że nigdy nie zmienię. To pierwsza kwestia. Druga to zarzucanie mi, że jestem Wojciechem Kałużą (samorządowiec ze Śląska,

w 2018 r wybrany z list KO do śląskiego sejmiku, po czym porozumiał się z PiS i dziś jest wicemarszałkiem województwa z ramienia tej partii. Oskarżany o korupcję polityczną – red.). Jeżeli ci państwo uważają, że jestem jak ten polityk, który został wicemarszałkiem województwa śląskiego, to chciałem powiedzieć kilka rzeczy. Pan Kałuża do końca utrzymywał swoją decyzję w tajemnicy, a ja otwarcie rozmawiam o swoich wątpliwościach z opinią publiczną. Co więcej, opinia publiczna dowie się przed głosowaniem, z odpowiednim wyprzedzeniem, jaką podjąłem decyzję. Moja lojalność wobec kolegów z PSL i kolegów z Senatu wymaga tego, żeby zawczasu mogli się przygotować do tego, jaka będzie ta moja decyzja. To różni mnie z panem Kałużą. Różnię się jeszcze tym, że pan Kałuża otrzymał za swoją zmianę frontu lukratywne stanowisko. Ja oświadczam, że żadnego stanowiska od PiS nie przyjmę. Wręcz przeciwnie. Mówiłem już publicznie, że marszałek Ryszard Terlecki proponował mi całkiem niedawno stanowisko marszałka Senatu, proponowano mi je też tuż po wyborach w 2019 r., kiedy

jeszcze nie było wiadomo, kto będzie tym marszałkiem. Za każdym razem odmawiałem i uzasadniałem to. Mówiłem to publicznie i nic się w tej sprawie nie zmienia. Więcej, jeśli będę głosował za panem Wróblewskim – tego jeszcze nie wiem – i byłaby przy okazji jakaś próba odwołania marszałka Tomasza Grodzkiego, to deklaruję, że za każdym razem mój głos będzie po stronie marszałka Grodzkiego.

Dobrze, odnotowane. Zostawmy politykę, bo nie o niej, czy nie tylko o niej chciałem z panem rozmawiać. Mam wrażenie, że w zamieszaniu wokół pana, pana przyszłej decyzji i spojrzeniu na sprawę aborcji, zbyt mało jest rozmowy o przyczynach. Jeżeli już pytają, to o to, co pan myśli na temat aborcji eugenicznej, a nie dlaczego pan tak myśli.

Dobrze, precyzyjnie przedstawię swój pogląd. Uważam, że na podstawie tzw. przesłanki eugenicznej, czy jak mówią ludzie innego zdania – embriopatologicznej, dochodziło do pozbawiania życia tych dzieci, które mogły żyć. Na przykład dzieci z zespołem Downa. Zespół Downa jest pewnym rodzajem niepeł-

nosprawności i ja, jako parlamentarzysta z niepełnosprawnością, mam nie tylko prawo, ale i obowiązek mówić o tym, że sprzeciwiam się tym przypadkom aborcji, które były dokonywane na podstawie przesłanki eugenicznej i eliminowały dzieci z zespołem Downa. Znam mnóstwo rodzin z dziećmi z zespołem Downa i są to szczęśliwe i radosne rodziny i dzieci. Są to rodziny, w których obecność takich dzieci wpłynęła pozytywnie na ich integrację, relacje wewnętrzne itd.

*Mam obowiązek mówić, że **JESTEM PRZECIWKO TAKIM ROZWIĄZANIOM** prawnym, które mogłyby prowadzić do pozbawiania takich dzieci życia.*

Pan mówi otwarcie i wspomina o swoim obowiązku takiego stawiania sprawy, ale w dyskusji, która toczy się co najmniej od października 2020 r. zupełnie inaczej rozłożono akcenty. Brakuje głosu osób z niepełnosprawnościami, które miały szczęście się urodzić, mówi się za to o wyborze, podnosi kwestię praw oby-

watelskich, które miałyby być odbierane kobietom. Wyrzucono z dyskusji głos tych, których urodzenia bądź nie, dotyczy dyskusja – głos osób z niepełnosprawnościami. Protesty po orzeczeniu TK szły w kierunku liberalizacji i pewnego eliminowania osób z niepełnosprawnościami.

Powiem zupełnie szczerze i od serca. Nie jestem w stanie zrozumieć polityków, osób publicznych, które zakładają różnokolorowe skarpetki z okazji dnia osób z zespołem Downa, a z drugiej strony mówią, że powinna istnieć przesłanka do aborcji eugenicznej. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak te osoby są w stanie pogodzić tak różne postawy. Ja nie byłbym w stanie.

To jest czysta hipokryzja.

To pan powiedział. Dla mnie to za ostre słowo.

Tak powiedziałem i tak uważam.

Powtarzam – ja nie potrafię pogodzić tak różnych postaw. To po pierwsze. Po drugie – nie będę się wypowiadał za środowisko osób z niepełnosprawnościami.

Chciałbym, żeby wypowiedział się pan we własnym imieniu, jako osoba z niepełnosprawnością.

Powiem, że wystąpienie publiczne wymaga przełamania pewnych barier, lęków, dla kogoś, kto robi to rzadziej lub w ogóle. Mnie, ponieważ robię to zawodowo, jest łatwiej wystąpić i coś powiedzieć. W związku z tym uważam to za swój obowiązek. To kwestia numer dwa. Wreszcie jest kwestia trzecia – proszę zwrócić uwagę na bardzo niekorzystne przesunięcie akcentów. W dyskusji o aborcji 20 czy 30 lat temu zwolennicy aborcji mówili, że zgadzają się z przeciwnikami co do tego, że aborcja jest zawsze złem, ale są przypadki, w których jest mniejszym złem. Dziś zwolennicy aborcji powtarzają, że to prawo kobiety. Dla mnie aborcja była, jest i będzie złem. Z punktu widzenia filozoficznego, nie ma prawa do czynienia zła. Jest techniczna możliwość dokonywania zła, ale nigdy nie powiemy, że mam np. prawo do kradzieży. Mamy prawo do oszustwa w tym sensie, że możemy znaleźć się w sytuacji, w której kradzież jest jedynym wyjściem, bo umieramy z głodu. Mogę znaleźć się w sytuacji, w której uznam, że oszustwo jest lepszym wyjściem, choć się mylę. Nigdy jednak nie powiem, że mam moralne prawo do oszustwa.

Teraz stoimy już u wrót kolejnej zmiany – nie mówi się już, że aborcja jest mniejszym złem czy jest prawem, mamy za to okrzyk: „hej, hej, hej, aborcja jest ok”.

*To miałoby znaczyć, że aborcja jest czymś dobrym. Ja **PROTESTUJĘ PRZECIWKO TAKIEJ EWOLUCJI W MYŚLENIU** tych, którzy mają na aborcję inne spojrzenie niż ja.*

Dziś mówi się, że przez lata kobiety wpędzano w fałszywe poczucie winy po dokonaniu aborcji i nigdy nie miały miejsca żadne traumy itp. Argumentuje się, że jest to zwyczajny zabieg medyczny.

Jestem tym zdumiony. Żyjemy w czasach, gdy można zrobić badanie USG i każdy może się przekonać, że na zdjęciu USG widać dziecko. Znam mnóstwo osób, które przynosząc takie USG swojej żony czy dziewczyny, mówią, że to jest ich dziecko. Nawet dla osób, które nie mają stanowiska w sprawie aborcji, jest to dziecko. Dla takich jak ja również, a dla

tych mających inne zdanie już nie? Nie rozumiem tego, podobnie jak nie rozumiem dwóch różnych skarpetek i popierania aborcji eugenicznej.

**Nie rozumie pan lansu na osobach z niepełno-
sprawnościami.**

Nie chcę mówić o lansie, bo to czy ktoś to robi, czy nie, to kwestia jego intencji i tego, co ma w sercu. Zastanawiam się tylko, jak ktoś to logicznie godzi w swojej głowie.

**Aczy uważa pan, że Polska dziś, w marcu 2021 r.,
jest dobrym miejscem do życia dla osoby z niepełno-
sprawnością? Dla osoby z niepełnosprawnością, która
dopiero ma się urodzić?**

Myślę, że pyta pan nie do końca właściwą osobę. Pyta pan kogoś, kto ma 50 lat i ja w związku z tym sięgam 40 lat wstecz i oceniam dziś także w perspektywie własnego doświadczenia.

Pytam, mając świadomość, że jest pan uprzywilejowany.

Tak, oczywiście i patrzę na to w długim odcinku czasowym. Mając 10 lat szedłem do kina albo do

teatru i fakt, że jestem na sali, był większą sensacją niż ten film czy przedstawienie. Zwracałem większą uwagę niż cel, dla którego ludzie tam przyszli. Dziś osoba z niepełnosprawnością na sali kinowej nie zwraca niczyjej uwagi. Dla mnie to jest ta zmiana. Dla rodziców, którzy dziś idą do kina ze swoim dzieckiem z niepełnosprawnością nie jest to żadna zmiana, bo ludzie traktują to normalnie. Moja perspektywa jest tu inna. Powiedział pan, że jestem osobą uprzywilejowaną. Zgadzam się z tym i nie ma o czym gadać, ale w związku z tym moja perspektywa też może być i jest inna. Warto wreszcie zwrócić uwagę na to, że jeśli ktoś uważa, że kiedyś dojdziemy do etapu, w którym życie osoby z niepełnosprawnością będzie identyczne z życiem osoby z pełną sprawnością, to jest ułuda. Nigdy nie osiągniemy stanu identyczności.

Należy do tego dążyć.

Należy to zbliżyć, oczywiście. Konwencja ONZ o prawach osób niepełnosprawnych kładzie na to duży nacisk, ale nigdy na 100% tak nie będzie. Spójrzmy na to tak, że pozostaje wciąż wiele rzeczy do zrobienia. Na

przykład problem usług asystenckich dla osób z niepełnosprawnością nie jest dziś w Polsce rozwiązany.

To jedna z wielu bolączek.

To udało się tylko w formie szczątkowej. Ktoś może powiedzieć: „Libicki jest w parlamencie 16 lat i co”? Tak, proporcjonalnie ponoszę za to część winy i przyznaję się do tego. Trzeba to rozwiązać.

*Potrzebne jest spojrzenie konwencyjne – nie to, że podniesiemy komuś zasiłek, tylko **POTRZEBNE JEST W CZUCIE SIĘ W POTRZEBY**, spojrzenie na godność takiej osoby.*

W wielu przypadkach tak już się dzieje, ale u przeciętnej osoby, która nie spotkała się z osobą z niepełnosprawnością, nie ma takiego spojrzenia. To na pewno trzeba wyrobić. Z całą pewnością jest wiele rzeczy, do których powinniśmy dążyć.

Widzę tu ogromne wyzwania dla polityków u władzy. Tych rządzących teraz i w przyszłości.

Opowiem panu o pewnym wydarzeniu z udziałem pana premiera Mateusza Morawieckiego. W 2018 r. zostałem zaproszony na inaugurację programu Dostępność Plus w Centrum Nauki Kopernik w Warszawie. Było wielkie show, wielka prezentacja o tym, jak to teraz ruszymy z kopyta i wszystko się zmieni. „Wcześniej nikt nic nie zrobił, a teraz my spravimy, że życie osoby z niepełnosprawnością będzie inne” – w tym duchu przemawiał pan premier Morawiecki. W swoim wystąpieniu zataił jednak fakt, że program Dostępność Plus przygotowano po to, żeby w kolejnej perspektywie budżetowej otrzymać pieniądze. Premier mówił tylko „my damy”, a wszyscy obecni tam notable z PiS tłumaczyli mi, że nawet jeśli nie jestem z PiS, to muszę zrozumieć, że to dobre działanie ponad podziałami. Po części oficjalnej wszystkich zaproszono na obiad. Przejechaliśmy więc – razem około 30 osób na wózkach – do sali obok, a tam czekało jedzenie na wysokich stołach. Można było jeść tylko na stojąco. Naprawdę, trochę ze wstydem trzeba było organizować stoły odpowiedniej wysokości.

Wielkie cele na horyzoncie, a potknięto się o rzeczywistość.

To nie wymagało przecież wielkich nakładów, o których mówił premier. Wystarczyło tylko wcześniej wpuścić na salę kogoś, kto wie jak funkcjonują osoby z niepełnosprawnościami. Zaraz by to wychwycił. Jeśli pan mnie teraz zapyta, czy to dobrze, że pełnomocnikiem rządu ds. osób z niepełnosprawnościami jest pan Paweł Wdówik, który sam jest osobą z niepełnosprawnością, to odpowiadam, że tak. To jest sukces rządu i już dawno powinno tak być. Nie mówię tego, bo sam chciałbym być takim pełnomocnikiem rządu. Nie chciałbym być i jestem zadowolony z tego, że jestem senatorem. Na pewno trzeba doceniać takie rzeczy i ja je doceniam.

To wciąż nie znaczy, że już jest dobrze i nie zostało wiele do zrobienia.

Oczywiście. Dam taki przykład z życia – w 2002 r. zacząłem funkcjonować jako radny w Radzie Miasta Poznania i wtedy po raz pierwszy zaczęto dostrzegać, że trzeba ten urząd jakoś dostosować do potrzeb osób z niepełnosprawnościami. Ludzie się zastanawiali, co

zrobić, żebym mógł zabrać głos czy wjechać do toalety. Kiedy zostałem posłem, zjawisko objawiło się w inny sposób. Przychodzili do mnie inni posłowie i prosili, żebym jeździł z nimi do ich okręgów wyborczych. Chcieli żebym im towarzyszył na imprezach środowisk osób z niepełnosprawnościami, bo dostawali na takie zaproszenia i nie wiedzieli jak się zachować.

Robił pan trochę za misia z Krupówek.

Robiłem za tego misia świadomie. Myślałem w ten sposób, że jak pojadę z nimi i nauczę ich, jak mają funkcjonować w tym środowisku, to następnym razem pojadą tam już beze mnie.

I w ten sposób wyjdzie z tego coś dobrego.

Tak. Oni się w ogóle zaczęli zastanawiać nad przyjmowaniem takich zaproszeń, bo widzieli, że mają kolegę z niepełnosprawnością na posiedzeniu klubu. Dziś uważam, że przeciętni ludzie, w tym ministrowie, nie pomyśleliby o zatrudnieniu np. osoby niewidomej, ale kiedy widzą, że na posiedzeniu Rady Ministrów siedzi Paweł Wdówik, który też jest ministrem, to może zaczną o tym myśleć.

W ministerstwach osób z niepełnosprawnościami próżno szukać. Pytaliśmy o to we „Wprost” i spośród tych resortów, które odpowiedziały na pytania, tylko jedno Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej spełnia wymóg zatrudnienia co najmniej 6 proc. osób z niepełnosprawnością.

Powiem jako praktyk – nie skutkuje wysyłanie pism albo okólników. Taki pełnomocnik rządu powinien na Radzie Ministrów złapać np. ministra finansów za rękę i umówić się na kawę. Jak kolega z rządu z kolegą z rządu. Na tej kawie

*powiedzieć mu, że trzeba w Ministerstwie Finansów uporządkować sytuację osób z niepełnosprawnościami. W ten sposób. **TRZEBA TO ROBIĆ RĘCZNIE**, a nie urzędowo.*

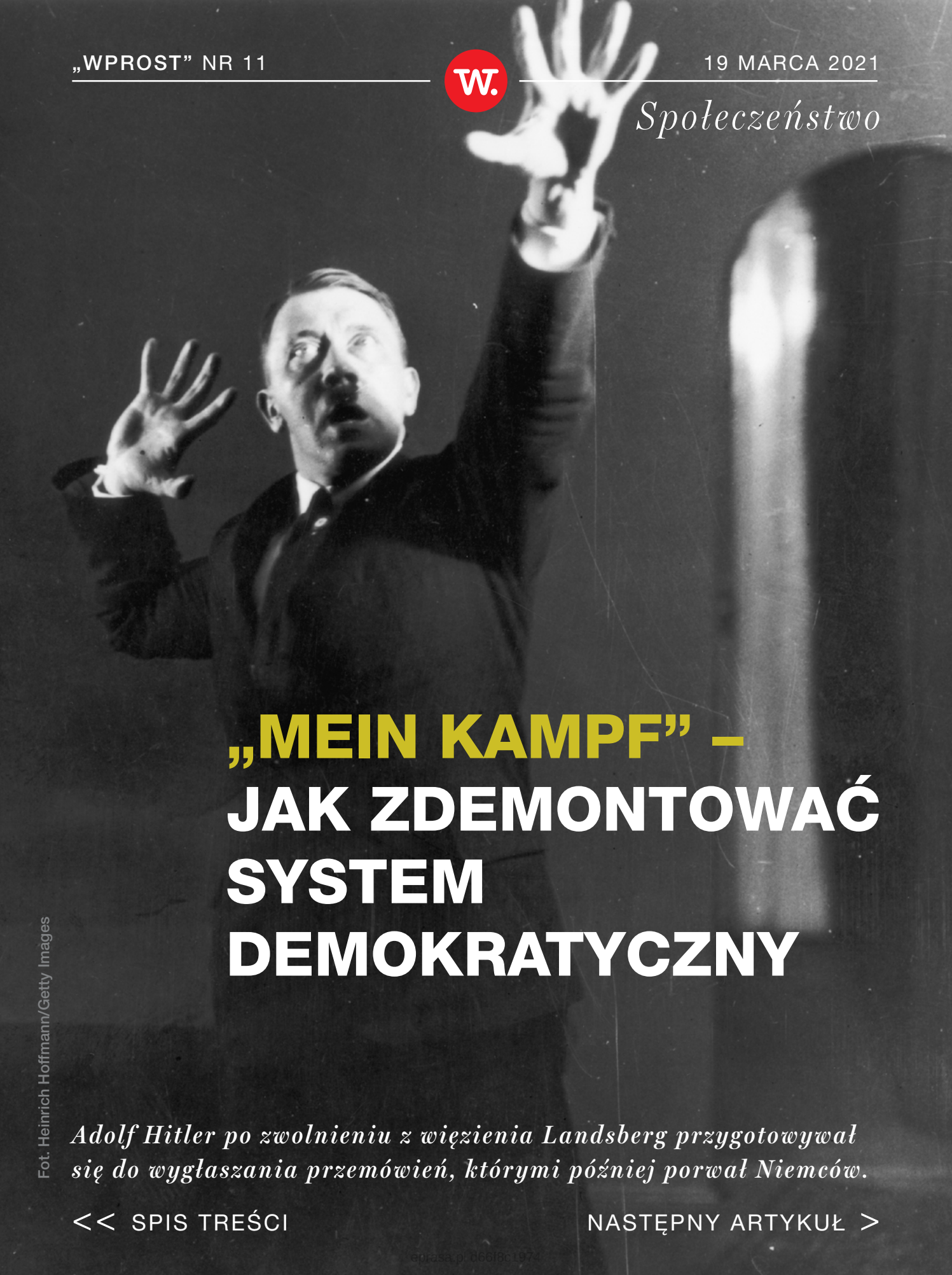
A może to kwestia braku perspektywy, o czym mówił pan wcześniej? Może trzeba takiego premiera Morawieckiego posadzić na wózku na 48 godzin

i wysłać do okręgu wyborczego, na Śląsk? Nie rządową limuzyną, tylko pociągiem. Nauka na żywo.

Wymaga pan od ludzi, którzy na co dzień nie stykali się np. z osobą niewidomą, żeby domyślali się, jak ta osoba funkcjonuje. Jeśli jej nie spotkają i nie zetkną się z problemem, nie będą o nim myśleć. To jest ludzkie, takie jest życie.

Czyli wszystkim, nie tylko politykom, brakuje codziennego kontaktu z niepełnosprawnością, który mógłby zmienić sytuację.

Tak. Kiedy po raz pierwszy zostawaliśmy posłami – ja i poseł Sławomir Piechota, w Kancelarii Sejmu wiele się zmieniało, bo ludzie zaczęli sobie zadawać pytania o nasze funkcjonowanie. Wcześniej nie było takiej osoby, to nie było też potrzeby. Można wprowadzać różne przepisy, ale dopóki osoba ze swoją niepełnosprawnością nie wedrze się w jakąś przestrzeń, to ta przestrzeń nie będzie „myśleć” o jej potrzebach. 



„MEIN KAMPF” – JAK ZDEMONTOWAĆ SYSTEM DEMOKRATYCZNY

Fot. Heinrich Hoffmann/Getty Images

Adolf Hitler po zwolnieniu z więzienia Landsberg przygotowywał się do wygłaszania przemówień, którymi później porwał Niemców.

<< SPIS TREŚCI

NASTĘPNY ARTYKUŁ >

JEDNA Z NAJBARDZIEJ ZŁOWROGICH KSIĄŻEK W HISTORII LUDZKOŚCI sprzedała się w Polsce już w blisko 20 tys. egzemplarzy. To czyni z edycji krytycznej „Mein Kampf” hit na rynku wydawniczym. W rozmowie z „Wprost” **PROF. EUGENIUSZ C. KRÓL**, tłumacz i redaktor naukowy tej książki, mówi o powodach wydania „Mein Kampf”, przyczynach niechęci do analizowania jej treści i analogiach do dzisiejszej polityki, z Trumpem na czele.



Rozmawiał **Dariusz Grzędziński**

Skąd brał się i bierze strach przed ponownym wydaniem „Mein Kampf”? Nawet w formie edycji krytycznej?

Strach brał się stąd, że istniało ryzyko – zdaniem tych, którzy się bali – że wznowienie czy powrót do „Mein Kampf” będzie pożywką dla sił nazistowskich i neonazistowskich. Sił ekstremalnych. To był

Spółeczeństwo

głównym motyw. Moim zdaniem był jeszcze jeden motyw, rzadziej wymieniany. Obawiano się, że wszczęcie dyskusji wokół nowo wydanej „Mein Kampf” może pokazać uchybienia, często graniczące z przestępstwem, bagatelizujące znaczenie tej książki i lekceważenie jej autora. Również przejście do porządku dziennego nad tym, co działo się w Niemczech, kiedy

*Eugeniusz C. Król*

– historyk, prof. nauk humanistycznych. Od 1993 roku pracownik, a latach 2012-2016 dyrektor Instytutu Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk. Autor prac nt. narodowego socjalizmu. Tłumacz i edytor polskiego wydania „Dzienników Josepha Goebbelsa”.

Spółeczeństwo

pojawienie się „Mein Kampf” było jednym z zapalników rozwoju wydarzeń po 1930 roku.

Z jednej strony niepokój, że to może zbudzić siły ekstremalne, więc może lepiej ich nie budzić i wtedy zasną na zawsze. Z drugiej strony przekonanie, że nie warto mówić i pisać o rzeczach nieprzyjemnych, pokazujących, że ówczesne elity popełniły straszliwe błędy. Nie doceniały i lekceważyły rosnącego w siłę dyktatora.

Rozumiem, że w drugiej części odpowiedzi sugeruje pan kierunek niemiecki, gdzie mogłoby dojść do otwarcia zagojonych już ran i odnowienia traumy, z którą ten naród musiał się długo zmagać?

Tak, ale nie tylko.

*Kariera tej książki jest, moim zdaniem, oskarżeniem nie tylko niemieckich elit. Również elit Europy Zachodniej, tych, które **MIAŁY COŚ DO POWIEDZENIA NA TEMAT BIEGU WYDARZEŃ.***

To prawda, że największą odpowiedzialność ponoszą elity niemieckie, ale jeśli spojrzymy na polityków i opinię publiczną we Francji, Wielkiej Brytanii czy w USA, to przecież istniały tam podobne zjawiska – niedocenienie, zlekceważenie i potem wykorzystanie polityki hitlerowskiej do własnych celów. Jest to oskarżenie bardziej uniwersalne niż tylko niemieckie.

A co z Polską? Kilkanaście lat po pierwszej publikacji „Mein Kampf” politycy niemieccy, członkowie NSDAP, byli w przedwojennej Polsce może nie honorowani, ale przyjmowani jak najnormalniejsi w świecie politycy. Czy u nas też zbagatelizowano niebezpieczeństwo?

Dotykamy tu kwestii wymagającej szerszych wyjaśnień, na które teraz nie czas i miejsce. Trzeba powiedzieć, że w okresie styczeń 1934 – wiosna 1939 mieliśmy ocieplenie stosunków polsko-niemieckich. To, o czym pan mówi, rzeczywiście miało wtedy miejsce. Były wizyty i rewizyty na najwyższym szczeblu. W 1934 r. Warszawę i Kraków odwie-

dzał na przykład Joseph Goebbels.

Zachowały się też zdjęcia z polowań z udziałem Hermann Göringa.

Te słynne czterokrotne polowania w Polsce, od 1935 do 1938 r., to był pozór. Prawdziwą misją Göringa było nakłonienie Polski do konceptu Adolfa Hitlera, którym było zdobywanie niemieckiej przestrzeni życiowej na Wschodzie. Polska miała być tu partnerem, historycy pisali, że raczej „junior partnerem”, bo trudno sobie wyobrazić, żeby była partnerem suwerennym i równorzędnym. Mówimy tu jednak o latach 1934-1939, kiedy w Polsce realizowano koncepcję polityki równowagi. Najpierw robił to Józef Piłsudski, a później Józef Beck. Polegała ona na utrzymywaniu równego dystansu wobec naszego wschodniego i zachodniego sąsiada.

W języku dzisiejszej dyplomacji powiedziałoby się o grze na wielu fortepianach.

Można tak powiedzieć, bo był jeszcze jeden, bardzo ważny, fortepian. Chodzi o sojusze z Francją

Spółeczeństwo

i Rumunią, później jeszcze z Wielką Brytanią. Wtedy wyglądało na to, że polityka równowagi może być skuteczna. Teraz wiemy, że skuteczność miała miejsce tylko na papierze, bo nasi sojusznicy haniebnie zawiedli i cały gmach misternie budowanych sojuszy runął. Politycy niemieccy rzeczywiście więc u nas bywali, ale nasze społeczeństwo było na ogół antyniemieckie. Nie wyzbyło się obaw po I wojnie światowej, zwłaszcza że polityka Republiki Weimarskiej była po 1918 r. antypolska. Polacy odpłacali daleko posuniętą rezerwą. Było wiele wzajemnych pretensji i to, że wprowadzono politykę ocieplenia, która owocowała zelżeniem obustronnych ataków, nie oznaczało, że przeciętny Polak od razu przestawił się na nowe tory. Nieufność wobec Niemców pozostała.

Nie był to pierwszy i ostatni przypadek w historii, kiedy oczekiwania i nastawienie ludu, mówiąc kolokwialnie, mocno rozjeżdżają się z działaniami polityków. Przechodząc do samej treści „Mein Kampf”, rozczaruje się ten, kto spodziewa się tam licznych pol-

skich wątków i wściekłych ataków na nas. Hitler bardziej skupił się na Francji czy krytyce Habsburgów. Dla polskiego czytelnika to musi być zaskoczenie.

Tak. Hitler zajął się też budowaniem teoretycznego sojuszu z Wielką Brytanią i z Włochami. O Polsce jest w „Mein Kampf” rzeczywiście bardzo niewiele, jest krytyka polityki Otto von Bismarcka wobec Polaków. Pojawia się zarzut, że nie można germanizować ludzi, ale ziemię – czyli tak jak potem robiono to na ziemiach polskich w 1939 i 1940 roku, usuwając polskich mieszkańców i osadzając na ich miejsce „zdrowych rasowo” niemieckich chłopów.

„*Wątek hitlerowskiej wersji germanizacji wobec Polaków pojawia się w obu tomach „Mein Kampf”, ale* **JEST TO WĄTEK POBOCZNY.**

Drugi element, który tam widzimy, to rozważania Hitlera o różnych konstelacjach sojuszniczych, z których wyklucza Polskę. Polska i Czechosłowacja

Spółeczeństwo

to sojusznicy Francji, a Francja to śmiertelny wróg Niemiec – i w związku tym nie ma mowy o sojuszu z jej sojusznikiem.

Jest jeszcze jeden element, być może najważniejszy, chociaż w domyśle. Kiedy Hitler kreśli perspektywę zdobywania przestrzeni na Wschodzie, mówi, że miejscem tej ewentualnej ekspansji jest Rosja i „jej podporządkowane państwa ościenne”. To jest zagadka, nad którą możemy się głowić i zgadywać, co Hitler miał na myśli, kiedy pisał o podporządkowanych Rosji państwach ościennych. Rozpatrując to zgodnie z ówczesnymi realiami, państwami ościennymi były republiki bałtyckie, Polska i Rumunia. Wszystkie były państwami suwerennymi. Gdyby spojrzeć inaczej, mogłoby chodzić o Białoruś i Ukrainę znajdujące się w obrębie ówczesnego Związku Radzieckiego, ale to nie były państwa ościenne. Albo mamy do czynienia z popełnionym przez Hitlera błędem w nazewnictwie, albo niedomówieniem.

Historycy wyciągają z tego wniosek, że sprawa formy ekspansji na Wschód nie została jeszcze

Spółeczeństwo

w „Mein Kampf” określona. Nie zostało rozstrzygnięte to, czy marsz po przestrzeń życiową na terytorium Rosji odbędzie się razem z Polską, czy, mówiąc dosadnie, po trupie Polski. Do tej kwestii Hitler wrócił po niespełna dekadzie. Po dojściu do władzy uznał, że trzeba będzie namówić Polskę do wspólnego pójścia na Wschód i stąd okres ocieplenia stosunków, zapoczątkowanego podpisaniem deklaracji ze stycznia 1934 r. o wyrzeczeniu się siły w stosunkach wzajemnych.

Potem doszło do wyciszenia antypolskich tonów w niemieckich mass mediach, miały miejsce wizyty Göringa, ale także wizyty i rewizyty przedstawicieli różnych grup społecznych i zawodowych. Józef Piłsudski był przez propagandę narodowosocjalistyczną demonstracyjnie uznawany za wielkiego męża stanu. Po jego śmierci w maju 1935 roku odbyły się w Berlinie wielkie uroczystości żałobne. Brał w nich udział sam Hitler.

To wszystko było instrumenty, które miały wpłynąć na Polskę i nakłonić ją do następującego kom-

Spółeczeństwo

promisu: Polacy zgadzają się na włączenie Wolnego Miasta Gdańska do Rzeszy i pozwalają na budowę eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej przez korytarz pomorski. Przystępują też do paktu antykominternowskiego z 1936 roku. W zamian dostają przekształcenie deklaracji ze stycznia 1934 roku w pakt o nieagresji na 25 lat i gwarancję granic oraz obietnicę koncesji na terenie radzieckiej Ukrainy.

Polska z tej oferty ostatecznie nie skorzystała, co wzbudziło gniew Hitlera, który nie mógł zrozumieć, dlaczego Polska odrzuciła takie, w jego przekonaniu, korzystne propozycje. A Polska dlatego z nich nie skorzystała, bo kolidowało to ze strategią utrzymywania równego dystansu. Warszawa starała się zachować pewien rodzaj neutralności w samym środku Europy, której osłoną miały być sojusze z Francją i Rumunią, a w końcu z Wielką Brytanią.

Widząc opór Polski, Hitler w kwietniu 1939 roku podjął decyzję, że jednak pójdzie na Wschód przez trupa Polski. Można to traktować jako rozstrzygnię-

cie kwestii, która pozostawała w formie niedopowiedzenia w „Mein Kampf”: co zrobić z Polską, jeśli się będzie maszerować na Rosję?

O te znaki zapytania i niedopowiedzenia chciałbym teraz zapytać. Czytając pana uwagi do „Mein Kampf”, nie da się nie odnieść wrażenia, że nie ceni pan intelektu Adolfa Hitlera. Są wskazania licznych jego błędów, usterek językowych. Może więc nie chodzi o brak jasnej wizji rozwoju wydarzeń w okresie pisania „Mein Kampf”, a bardziej o nieumiejętność jasnego sformułowania swoich myśli i przelania ich na papier?

Jest to niewątpliwie cecha charakterystyczna tej książki. Zwrócili na to uwagę liczni historycy, nie tylko niemieccy. Warto w związku z tym przytoczyć pewną kwestię, którą podniósł jeden z niemieckich historyków. Napisał on, że być może tajemnica sukcesu Hitlera polega na tym, że wzięto jego nieudolność pisarską za objaw niedojrzałości intelektualnej i amatorszczyzny w polityce, co pozwalało uznawać go za postać nieszkodliwą.

Spółeczeństwo

Kiedy zorientowano się, że ten zlekceważony, a nawet pogardzany i wyśmiewany facet z groteskowym kosmykiem włosów na czole i jeszcze bardziej groteskowym wąsikiem, zdobywa poparcie społeczne i zaczyna realizować swój program o charakterze wewnętrznym i zewnętrznym na szeroką skalę – było już za późno na refleksje. Otrzeźwienie przyszło dopiero w 1939 r., kiedy Hitler złamał postanowienia konferencji monachijskiej i napadł na Czechosłowację. Wtedy dopiero zrozumiano, że ten niedouczony i próbujący pozować na intelektualistę człowiek dysponuje pewnymi cechami, które pozwalają mu brylować w polityce. Opamiętanie przyszło za późno.

Ile w „Mein Kampf” udziału Rudolfa Hessa, któremu Hitler dyktował tę książkę?

To jest niejasne, ile w „Mein Kampf” jest Hitlera, ile Hessa, a ile innych redaktorów. Trzeba jednak przyjąć, że podstawowe myśli są myślami Hitlera. Te zresztą zostały w znacznym stopniu przejęte od innych. Hitler czerpał z obszernego zbioru, należącego do ruchów pangermańskiego i volkistowskie-

Społeczeństwo

go. Stamtąd pochodziły na przykład po części, tak skuteczne w przypadku narodowego socjalizmu, ceremoniały propagandowe. Swój udział miał w tym względzie również włoski faszyzm, a także partie ruchu robotniczego. Ruch narodowosocjalistyczny był eklektyczny w sferze ideologii i praktyce działania. Charakterystyczne przy tym, że rozwijał on kilka kluczowych wątków.

”*Możemy mówić wiele o nieudolności Hitlera i jego kłopotach pisarskich, ale w „Mein Kampf” można znaleźć hasła, które **REALIZOWAŁ Z ŻELAZNĄ KONSEKWENCJĄ.***

To na pewno był program antyżydowski – wizja „światowego sprzysiężenia” i jego reprezentacji wewnątrz Niemiec w postaci prasy liberalnej, a także ruchu marksistowskiego – „zażydzonych” komunistów i socjaldemokratów. Wiąże się z programem antyżydowskim kategoria absolutnego wroga, czyli

takiego, z którym się nie dyskutuje – ale do niego strzela albo tępi jak robactwo.

Hitler dehumanizował wrogów.

Tak, kompletna dehumanizacja wroga. W „Mein Kampf” występują wyraziste postacie wroga absolutnego czyli śmiertelnego – to wróg francuski, wróg żydowski i wróg rosyjski. Wroga słowiańskiego tam nie ma, rozpląnął się, chociaż wiadomo z jego wystąpień publicznych, że Hitler był nastawiony antysłowiańsko od czasu bytowania w Wiedniu w latach 1906-1913.

Czyli od czasu, który miał go formować intelektualnie.

Nabył tam bardzo silnego antysemityzmu, ale i antyslawizmu. Widział Austro-Węgry jako nieudany twór będący tygłem narodowościowym, gdzie ci, co najważniejsi – Niemcy – nie mają właściwej pozycji. Wiedeń to także czas, kiedy Hitler zaznajał się, a potem do pewnego stopnia identyfikuje, z pangeranizmem i volkizmem. Zaczyna mu chodzić po głowie projekt państwa volkistowskiego.

Spółeczeństwo

W tym miejscu niezbędna wydaje się mała, ale ważna uwaga natury językowej. Niektórzy tłumaczą występujący w oryginale termin „völkischer Staat” jako państwo narodowe lub ludowe, ale to nieporozumienie. Słowo „das Volk” jest niejednoznaczne w języku niemieckim i oznacza lud albo naród. Ale w tym przypadku trzeba użyć określenia odnoszącego się do oryginalnej nazwy czyli do volkizmu. Był to specyficzny ruch nacjonalistyczny w Niemczech i Austrii, z którego wywodzi się właściwie narodowy socjalizm. W „Mein Kampf” Hitler ogłasza, że buduje państwo volkistowskie, które jest archetypem państwa totalitarnego, czyli takiego tworu, który realizowano w Niemczech od 1933 r. To również jest pomysł należący do kluczowych elementów programu Hitlera. Przy całej jego nieudolności stylistycznej, jest to coś, co niestety potrafił realizować. Do tego dochodzi zdobywanie przestrzeni życiowej na Wschodzie. Ten program jest wyraźnie zarysowany w „Mein Kampf”.

Mówił pan o zapożyczeniach Hitlera. Trudno oprzeć się wrażeniu, że jego książka jest bardzo nie-

Spółeczeństwo

Wiec w Dortmundzie w 1933 roku, krótko po dojściu Hitlera do władzy - wódz spogląda na swoje wojsko.

równa, co mogłoby świadczyć nie tyle nawet o zapożyczeniu, ile o kopiowaniu pewnych myśli. W efekcie mamy miszmasz. Niekoniecznie spójny i logiczny. Zgadza się pan z taką oceną?

Tak, zgadzam się, ale warto byłoby zajrzeć jeszcze do przemówień i tekstów, które Hitler napisał przed pójściem do więzienia i początkiem pisania „Mein Kampf”. Te teksty są znane, bo zostały bardzo skrupulatnie wydane przez niemieckich historyków. Okres 1919-1923 to kilka tysięcy przykładów różnego rodzaju aktywności pisarskiej i krasomówczej Hitlera. Wiele z tego, co Hitler wtedy wypowiedział i napisał, zostało uogólnione, na różnym poziomie udolności, w „Mein Kampf”. To nie są elementy, które pojawiły się nagle w przemyśleniach więziennych. One zostały tam usystematyzowane.

Pewne sprawy się Hitlerowi wyklarowały.

I tak daleko było do pełnej jasności, bo książka ma bardzo wyraźne cechy niedopracowania. W sensie konstrukcji i stylistyki. Są tam rozdziały bardzo długie i zadziwiająco krótkie. Pewne wątki zamykają

Spółeczeństwo

się w tomie pierwszym i powracają w tomie drugim. Tak jest, przykładowo biorąc, z wątkiem autobiograficznym. Słowem, jest tam nieudolność konstrukcyjna, a także liczne usterki stylistyczne. Te ostatnie próbowano poprawiać w kolejnych wydaniach „Mein Kampf” do 1933 r., później już w mniejszym stopniu (łącznie do 1944 r. ukazało się ok. 12,5 mln kopii książki - przyp. red.).

Te poprawki były tyleż rozpaczliwe, co nieskuteczne, bo ten tekst należało właściwie napisać od nowa. Po 1933 r. nie było na to żadnej zgody i tekst zaczął być traktowany ikonicznie, zaczął pełnić funkcję druku urzędowego. Nie było mowy o poważnych ingerencjach i dyskusjach na temat zawartości „Mein Kampf”. Chyba że chodziło o podejście apologetyczne. Wszelkie krytyki „Mein Kampf” ustały w Niemczech po 1933 r., o czym piszę we wstępie do wydania krytycznego. Pozostawało to w zgodzie z prawidłowościami państwa totalitarnego, gdzie cenzura odgrywa bardzo istotną rolę w życiu publicznym.

Przekładając to na dzisiejszy język, Hitlerowi zabrakło PR-owców i spin doktorów, którzy wygładziliby przekaz i zadbali o jego lepszą spójność.

Wiadomo, że byli redaktorzy, choć to wiedza niejasna, których zabiegi nie wpłynęły jednak na poziom merytoryczny i formalny publikacji. To przestało mieć znaczenie po 1933 r., kiedy

„TEKST ZOSTAŁ „UŚWIĘCONY”. *Stał się – to często stosowane określenie, choć mi się ono nie podoba – „biblią narodowego socjalizmu”.*

Tekstu biblii się naucza i się go studiuje, ale nie ma mowy o podważaniu i poprawianiu.

Na szczęście żyjemy w czasach pozwalających podważać tekst tej „biblii” i dyskutować o nim. Pan go przetłumaczył, zredagował i krytycznie zinterpretował. Polskie wydanie „Mein Kampf” jest już w księgarniach i cieszy się dużym zainteresowaniem.

Według informacji, które do mnie dotarły, liczba sprzedanych egzemplarzy zbliża się do 20 tysięcy.

To znaczy, że książka mocno zaistniała w przestrzeni publicznej. Czy docierają do pana sygnały z tej przestrzeni, wyłączając z niej historyków, na temat pana pracy? Krytyka samej decyzji o wydaniu „Mein Kampf”? Pytania „po co”?

Reakcje są dwubiegunowe, można to sobie zresztą wyobrazić. Są głosy protestu i pytania o to, po co wydawać tę książkę. Protesty są zarówno w postaci zindywidualizowanej, jak i zorganizowanej, np. Towarzystwa Jana Karskiego. Stowarzyszenie „Kursk” pytało na antenie rosyjskiej telewizji „Zwiezda” o to, kto mi zapłacił i dochodziło do nieprawdziwej zresztą odpowiedzi, że zrobili to Niemcy.

Czyli Rosjanie też się zainteresowali i krytykują.

Rzeczniczka rosyjskiego MSZ Maria Zacharowa zarzuciła, że wydaje się książkę, w której jest zapisany wyrok śmierci na naród polski. W drobnej polem-

Spółeczeństwo

ce zasugerowałem, że warto przeczytać tekst, zanim się coś takiego napisze i zarzuci. Przecież w „Mein Kampf” nie ma ani słowa o zagładzie narodu polskiego. Rozumiem jednak funkcje propagandowe, które mają spełniać rosyjskie mass media.

Jest też drugi biegun reakcji na wydanie „Mein Kampf”, z którego wynika, że trzeba było tę książkę wydać i że została ona solidnie opracowana. Pan jednak zastrzega, aby w tej chwili nie sięgać do obszaru historyków i naukowców.

Tak, bo można ten światek określić jako dość hermetyczny.

Ten światek też ma swoje zdanie, z którym się liczę i czekam na jego głosy.

Nie odbieram mu tego zdania. Byłem ciekaw szerszego odbioru społecznego.

Zapewne będą głosy pozytywne i negatywne. Ja oczekuję po prostu poważnej i merytorycznej dyskusji. Moją intencją wydania „Mein Kampf” było to, aby tej książki nie traktować wyłącznie jako ważnego i złowrogiego dokumentu historycznego, ale aby jej

Spółeczeństwo

treść i dzieje inspirowały nas również w odniesieniu do dnia współczesnego i przyszłości.

Ta książka pokazuje, jak można zdemontować system demokratyczny. Są w niej opisane instrumenty, które w warunkach przełomu lat 20. i 30. XX w. w Niemczech okazały się bardzo skuteczne. Warto się nad tymi instrumentami zastanowić i odpowiedzieć na pytanie, czy są to instrumenty należące do śmietnika historii, czy nie należy przyglądać się temu również w perspektywie współczesnej. Czy zaniechanie w stosunku do „Mein Kampf” nie ma przełożeń na współczesność?

Weźmy przykład zaniechania w stosunku do Donalda Trumpa. Odstąpiono od procedury impeachmentu, a sam Trump dał do zrozumienia, że będzie dalej działał i liczy na prolongatę swojej kariery politycznej. Dla mnie to niepojęte i bardzo groźne. Trochę przypomina mi to czasy, kiedy już raz zlekceważono niebezpieczeństwo, licząc, że da się je opanować. Problem Trumpa – przy zachowaniu wszelkich proporcji historycznych, bo nie ma mowy

Spółeczeństwo

o prostych analogiach – to takie przeniesienie w czasie problemu z Hitlerem.

Mam nadzieję, że krytyczna edycja „Mein Kampf” będzie miała tego rodzaju wydźwięk, że skłoni ludzi do dyskusji na temat czujności, choć to może niemodne słowo, należące do PRL-owskiej nowomowy. Ważne, aby w odpowiednim czasie pojawiły się reakcje na określone zjawiska, zgodnie ze starożytnym porzekadłem „historia jest nauczycielką życia”.

Chodzi o to, aby pewne rzeczy, dziejące się teraz, nie potoczyły się tak samo, jak wtedy. Z tego powodu bardzo liczę na dyskusję w gronie historyków, a może także politologów, socjologów i psychologów – bo „Mein Kampf” jest źródłem, które nie zostało jeszcze w całości zinterpretowane, a w każdym razie interpretacje nie spotkały się z szerokim odbiorem społecznym. Mam nadzieję, że znajdzie się czas na dyskusje na ten temat.

We wstępie do edycji krytycznej zasygnalizowałem problem recepcji książki. W jej bardzo ograni-

czonym, niestety, efekcie nie powstał skuteczny ruch zapobiegania rozwojowi narodowego socjalizmu. Zarówno w Niemczech i poza ich granicami. Liczę na to, że będziemy dyskutowali o tej recepcji, również o recepcji „Mein Kampf” w międzywojennej Polsce. Na ten temat da się jeszcze wiele powiedzieć. Moje zadanie we wstępie do edycji krytycznej polegało przede wszystkim na stworzeniu różnych punktów wyjścia do dyskusji.

Dość smutna jest ta ostatnia konstatacja. Mamy problem z wyciąganiem wniosków z historii, a ponadto konstrukcja demokratyczna, skoro przywołany został przykład USA i Trumpa, okazuje się na tyle krucha, że chwilowy brak czujności i zdolności przewidywania grozi jej utratą.

Właśnie. Widać, jaką rolę odegrała uprawiana przez Donalda Trumpa propaganda internetowa i mityngowa. Umiał on dobrać takie hasła, które choć prymitywne, odpowiadały oczekiwaniom szerokiego grona odbiorców. Jeśli dodamy do tego perfekcjonizm mass mediów, które przecież bardzo

Społeczeństwo

rozwinęły się od czasów Hitlera, to mamy takie skutki.

Jakbyśmy pewne zjawiska już gdzieś widzieli.

Zamieściłem we wstępie do edycji krytycznej „Mein Kampf” taką oto smutną refleksję, że nie jestem do końca pewien prawdziwości zdania, iż historia jest nauczycielką życia. Podchodzę do tego przewrotnie – licząc, że jednak nią jest. Ale jeśli nawet, to na ogół po fakcie. Niestety. 

SZLACHECKIE ODRODZENIE

*Michał Korsak w swojej
dworskiej bibliotece.*

Fot. Maciej Stanik

*We dworze stoi sofa, na której prababkę Korsaka całował car, a w lustrze obok schodów przeglądał się Napoleon. **NOWĄ SIEDZIBĄ RODU KORSAKÓW ZOSTAŁ DWÓR, KTÓRY PRZEZ LATA POPADAŁ W RUINĘ.** Jednak dzisiaj nie każdy szlachcic musi mieć dwór, bo może mieszkać nawet w kawalerce.*



Tekst: **Piotr Barejka**

Korsakowie przejechali pół kraju, żeby znaleźć miejsce, które stało się nową siedzibą ich rodu. Przeglądali ogłoszenia, pytali po drodze, czy w okolicy można kupić dwór. Dopiero na polnej drodze za Rypinem poczuli, że znaleźli swoje miejsce. Zrujnowany budynek stał na wzgórzu, otoczony drzewami i stawami, oddalony od asfaltowej szosy i reszty domów.

Spółeczeństwo

– Dwór zawsze był dla mnie ostoją rodzinnego ciepła, poszanowania prawa i dobrego życia. Moim marzeniem było wrócić do dworu – opowiada Michał Korsak. Ubrany w szary garnitur, z sarmacko podkreconym wąsem, wchodzi do jadalni. – To miejsce przypomina mi Litwę. Mamy pagórki, lasy i jeziora, o których opowiadał ojciec. A obok jest Rypin, jedno z najstarszych miast w Polsce. Pomyślałem, że to miejsce nawiązuje do początków mojej rodziny – oznajmia.

Kilkanaście krzeseł stoi wzdłuż stołu, choć Korsakowie mieszkają tylko we dwoje. Za kolejnymi drzwiami salon, w którym unosi się zapach drewna palonego w kominku, a z portretów na ścianach spoglądają posągowe postaci. Korsak musiał znaleźć nową siedzibę rodu, bo ruiny dworów jego przodków zostały daleko poza granicami dzisiejszej Polski. Jeden w Anińsku, na styku Rosji, Białorusi i Łotwy, inny w Bardziełowiczach nad Dźwiną.

— Nie buta i pycha, jak niektórzy sobie wyobrażają, są cechami szlachty, ale umiłowanie wolności,

Spółeczeństwo

służba ojczyźnie i dzielność osobista. Jesteśmy do tej pory piętnowani i opluwani, fałszowana jest nasza historia, pomijane są ogromne zasługi – denerwuje się. – My nie pysznimy się tym, że mamy dwór. Tutaj chodzi o służbę. Odbudowaliśmy ten dwór, żeby służył nie tylko rodzinie, ale i społeczeństwu – stwierdza.

*„Dawniej nazywano ich wyzyskiwaczami. Teraz odzyskiwaczami. Spadkobiercy szlacheckich rodów **IDA PO TO, CO ZABRAŁY IM KOLEJNE WOJNY I PRL.***

Kiedyś stawiali klasztory i pałace. Gościli królów i carów. Dzisiaj z mozołem odbudowują potęgę swoich przodków. Na ich drodze stoją znane wszystkim Polakom przeszkody: biurokracja, tumiwisizm i sąsiadzka zazdrość, która objawia się nawet tym, że miejscowi potrafią obsmarować kłamki ich dworów krowim łajnem. Tak odradza się współczesna polska szlachta.

*Michał Korsak z żoną Beatą
Kazimierską-Korsak*

*Odbudowany dwór
na Wyrębie.*

Foto: Maciej Sztajler

Od dworu do obory

Po wojnie we dworach nie było ani obrazów, ani fortepianów, ani potomków ich właścicieli. Przejęte przez państwo miały służyć budowie nowej Polski, w której nie było miejsca dla szlachty. Ziemiańskie majątki dzielono na części, we dworach urządzano mieszkania i biura, obok stawiano obory. Jeśli nie powstawał PGR, to dwór zamieniano w szkołę albo przychodnię. Wtedy z dworskich parków wycinano drzewa, żeby budować szkolne boiska.

- Dwór mojego kuzyna działał jako magazyn nawozów sztucznych. Po latach ściany były wyżarte solą – opowiada Korsak. - Mówił, że nawet gdyby mu ten dwór zwrócono, to nie byłby w stanie go podnieść. A to nie był przecież człowiek, który miał kiepski zawód i nie radził sobie finansowo – zaznacza.

Spośród kilkunastu tysięcy dworów i pałaców, do spadkobierców trafiła garstka. Wiele jest w rękach gmin, czasem wciąż działają tam szkoły albo przychodnie. Inne stoją na uboczu, zarośnięte trawą i popadające w ruinę, bo nie ma pieniędzy, żeby je remontować.

Spółeczeństwo

Te bardziej okazałe kupują czasem prezesi największych firm czy znani artyści. Inne trafiły w ręce przedsiębiorców, którzy podjazdy wyłożyli kostką brukową, przerobili dwory na pensjonaty i domy weselne.

— To takie filmowe przekłamanie, że szlachta bawi się hucznie na wielkich balach, pije wino do oporu i poluje na jelenie. Na taki poziom życia mogła pozwolić sobie arystokracja i bogata szlachta. Większość szlachty nie była aż tak zamożna. Była i szlachta biedna, samodzielnie uprawiała swoją ziemię, jadła kaszę ze smalcem – krzywi się Korsak.

— *Jeżeli zamieniamy dwór na hotel albo dom weselny, **TO JEST TYLKO FASADA I ŁADNA NAKLEJKA**, ale dwór nigdy nie był knajpą. Taki dwór po prostu nie jest już dworem, nie ma duszy.*

Prawdziwy dwór był i powinien być żywym ośrodkiem ekonomicznym, politycznym, kulturalnym, oświatowym – mówi.

Dawny blask dworu

Zanim Korsakowie kupili dwór, musieli sprzedać mieszkanie, a Korsakowa, z zawodu architektka, dostała dobrze płatne zlecenie. Gdy już pojechali się zameldować, urzędniczka była w szoku. Nie dowierzała, że ktoś chce mieszkać w tej ruinie za wsią. I to jeszcze przyjechał z Warszawy. Prosiła o zaświadczenie od rzeczoznawcy, który na piśmie miał potwierdzić, że dwór nadaje się do zamieszkania. Przez lata stał przecież pusty. Straszyl dziurawym dachem i odrapanym tynkiem.

– Na początku drzwi też nie było, tylko prześcierała – śmieje się Korsakowa, gdy wspomina pierwsze przyjęcie. Wstawili naprędce tylko jedne budowlane drzwi, zamykane na drucik. Nie było desek na podłodze, tylko goły beton. Ale na przyjęcie i tak przyjechało kilkadziesiąt osób. Stół zastawili jedzeniem i alkoholem, a gościem honorowym była wiekowa dama, pani Morawska. Powiedziała nam, że takie biesiady pamięta przed wojną na Litwie – cieszy się Korsakowa.

Spółeczeństwo

Później Korsakowie zatrudnili betoniarza, który choć budował nawet estakady w Libii, to przy dworze pracował po raz pierwszy. Okoliczny stolarz też pierwszy raz robił półki do szlacheckiej biblioteczki. Po czasie okazało się, że wymienić trzeba nie część, tylko cały dach. Wtedy Korsakowie musieli wziąć kredyt, ale mimo przeszkód dwór odzyskiwał dawny blask.

Grunt to pochodzenie

Jednak dzisiejsi szlachcice mieszkają nie tylko we dworach, równie dobrze mogą mieć dwa pokoje w wielkiej płycie. Nie muszą mieć ziemi, bo są i tacy, którzy pracują jako przewodnicy turystyczni albo prawnicy. Grunt, żeby mieli szlacheckie pochodzenie.

Zwykle wystarczy sięgnąć do trzeciego pokolenia wstecz, tam znaleźć akt urodzenia albo zgonu przodka, po którym widać, że był on szlachcicem. Dopiero z dokumentami można wstąpić do największej organizacji, która zrzesza rody, czyli Związku Szlachty Polskiej. Należy do niego kilkuset potomków rodów

Spółeczeństwo

z terenów dawnej Rzeczypospolitej, dzisiejszej Białoruś, Litwy czy Łotwy. Należy również Michał Korsak, który jest jego prezesem. I choć historia rodów sięga setek lat wstecz, to historia związku ledwie dwudziestu pięciu. Powstał dopiero w wolnej Polsce, bo wcześniej o szlacheckim pochodzeniu mówiło się szeptem. O ile w ogóle. Poza tym związek nie nadaje tytułów, może tylko potwierdzić, że ktoś naprawdę jest szlachcicem. Dlatego grono kandydatów jest ograniczone.

— *Współcześnie wielu szlachciców*
ZATRACIŁO WIEDZĘ NA TEMAT SWOICH
PIERWOTNYCH HERBÓW. *Zdarzało*
się, że brano wiadomości z herbarza
i dopasowywano herb do swoich rodzin.

Nie zawsze był to trafiony i historycznie poprawny wybór. W składanych deklaracjach był też przypadek, gdy ktoś nie wiedział, że jego pradziadek był adoptowany. Przez adopcję szlachectwo nie przechodzi – opowiada Korsak. — My to wszystko drobiazgowo

Spółeczeństwo

*Michał Korsak
z pietyzmem chroni
dokumenty rodzinne.*

*Akt urodzenia
pradziadka
Michała Korsaka*

Fot. Maciej Stanik

sprawdzamy, mamy swoje archiwa i najwyższej klasy ekspertów – zaznacza.

O służbę chodzi

Honorowe miejsce w salonie Korsaków zajmuje fortepian, za nim sięgająca sufitu monstera, a nad nią wisi jeszcze klatka ze świergoczącymi kanarkami. Korsak wchodzi po drewnianych schodach, mija miecze i szable przymocowane do ścian. Staje przed drzewem genealogicznym, na którym drobnym pismem zapisano około tysiąca imion. Cała płątanina linii i dat, która swój początek ma u Fryderyka.

– Ale skąd imię Fryderyk na tych ziemiach? – stawia pytanie Korsak. – Zrobiłem badania genetyczne i okazało się, że jestem genetycznym wikingiem, co parę rzeczy mi poustawiało w historii rodu Korsaków. Księstwo połockie, skąd pochodzi moja rodzina, było na drodze wikingów do Bizancjum – odpowiada sam sobie po chwili. Przesuwa palcem w poprzek jednej z najniższych linii i wskazuje Leonarda, który jest

Spółeczeństwo

po przeciwnej stronie drzewa, ale w tym samym pokoleniu, co on. – Zrobiliśmy też badania pomiędzy człowiekiem z tej linii i mną – objaśnia.

– *Mamy różnicę co najmniej szesnastu pokoleń, ale **RUSZAMY SIĘ TAK SAMO**, siedzimy tak samo i oczy też mamy tak samo.*

To pokazuje siłę genów – stwierdza.

Obok drzewa z samymi imionami i datami wisi jeszcze drzewo portretowe. Z mnóstwem małych twarzy przedstawicieli rodu Korsaków. Choć autor drzewa nie mógł wiedzieć, jak wyglądał każdy z przodków, to i tak wszystkie twarze się różnią, mają inne włosy, inny uśmiech, trochę inny ubiór. – Widać artystyczny kunszt tego dzieła. O tym, jak drogie było to drzewo, świadczy fakt, że dwóch Korsaków musiało się na nie zrzucić – oznajmia mężczyzna.

– Tutaj mamy Michała... – wodzi dalej palcem po plątaniu imion. – Ja jestem wnukiem Trojana,

Spółeczeństwo

a tutaj Antoni, mój prapradziadek – wskazuje jedną z twarzy, małą część udokumentowanej od czternastego wieku historii. – Co czuję, kiedy patrzę na drzewa? – zamyśla się Korsak. – Muszę czymś się zasłużyć, aby w nich być. Spłacić to, bo widzę przede wszystkim służbę. To są ludzie, którzy swoim życiem służyli Rzeczypospolitej – stwierdza.

- Ubieganie się jedynie o osobistą fortunę, o sławę i splendor, nie ma w istocie wielkiej wartości – wtrąca Beata Korsakowa, która przygląda się z boku. – Jak spojrzeć na takie drzewo, to widzieć, że nie ma to wielkiego znaczenia. Każde pokolenie to tylko chwila – wyjaśnia.

Dwór to idea

Korsakowie kupili nie tylko dwór, ale też szesnaście hektarów ziemi, ponad trzy hektary lasów i trzy duże stawy. Z początku nie wiedzieli, że jak mocniej popada deszcz, to polną drogą nie będzie dało się przejechać. W tym roku nawiało tyle śniegu, że też utknęli we dworze. Poza tym ogrzanie dworu, którego jadalnia

Spółeczeństwo

jest wielkości kawalerki, kosztuje majątek. – Ale dawniej w dworach nie ogrzewano wszystkich pomieszczeń. Zimą nie chodziło się w krótkich koszulkach, tylko w serdaczkach – uśmiecha się Korsak.

– Dzisiaj dwory to są zazwyczaj ruiny. Żeby je odbudować, to jest ogromny wysiłek, wiele lat pracy i takie pieniądze, że dałoby się ze dwa nowe domy postawić. To są rozmowy z wykonawcami, dostawcami, z konserwatorem zabytków, który ma swoje wymagania – wzdycha.

– Gdybyśmy wszystkich naszych pieniędzy nie wrzucili w ten dwór, to byśmy pewnie do końca życia mogli leżeć na plaży i patrzeć w niebo. Ale czy o to chodzi? - pyta retorycznie. Korsak wyjaśnia ideę dworu, bo nie chodzi w tym wszystkim o sam budynek. Bowiem dworem może być nawet byle jaka chałupa. Liczy się to, że do dworu przynależy ziemia, a w samym dworze toczy się życie.

Dlatego Korsakowie organizują fortepianowe koncerty, na które zjeżdżają uczniowie szkół muzycznych nie tylko z całej Polski, ale i ze świata. Zaprasza-

Spółeczeństwo

ją na przyjęcia, a poloneza tańczy się w żupanach i kontuszach, tak jak kilkaset lat temu.

— Poza tym chciałem zamieszkać na wsi.

*Jako zootechnik zajmowałem się hodowlą koni, kóz, gęsi, indyków, a obecnie pszczół w mojej dworskiej pasiece. Na co dzień więc **JESTEM PSZCZELARZEM.***

ale prowadzę też wykłady o pszczołach dla dzieci i młodzieży – mówi Korsak. – Na codzienne zakupy jeździmy kilkunastoletnim samochodem, który niczym się z tłumu nie wyróżnia – uśmiecha się.

Batalie sądowe o dwory

Żeby odzyskać majątek albo rekompensatę, trzeba poświęcić lata. A i tak mówi się, że bez pleców wskórać można niewiele. Wielu spadkobierców, to zwykle starsi ludzie, nie doczekało dnia, w którym mogli odzyskać majątek. Rodzinny dwór Korsaków został

Spółeczeństwo

za Bugiem, a Korsak od ponad trzydziestu lat walczy o to, żeby dostać rekompensatę. Gdy już wydawało się, że dokumenty są kompletne, wtedy urzędnicy stwierdzali, że brakuje jeszcze czegoś.

– Składając podanie do wojewody, czego nie byłem świadom, powołuję państwo polskie przed sąd. To dla mnie moralnie było nie do zaakceptowania. Dlaczego mam państwo polskie powoływać przed sąd? – wspomina Korsak. – Ale tu bardziej chodzi o moralną zapłatę za krzywdę, za opuszczenie domu, który był kilkaset lat w posiadaniu rodziny, niż o pieniądze – stwierdza.

Dlatego siostra Korsaka była w Wilnie czternaście razy, żeby wertować archiwa. Jeden wyjazd zajmował pięć dni, a jeszcze kilka lat temu archiwum nie było nawet ogrzewane. Poza tym obsługa miała dość tych, którzy przyjeżdżali szukać dokumentów. Zwykle nie pomagała w niczym. Musiał też udowadniać, że jego dziadek był przed wojną Polakiem. Aby to zrobić, pojechał do archiwum w Nowym Sączu, skąd wziął przedwojenny spis wyborców, w którym odnalazł swojego dziadka.

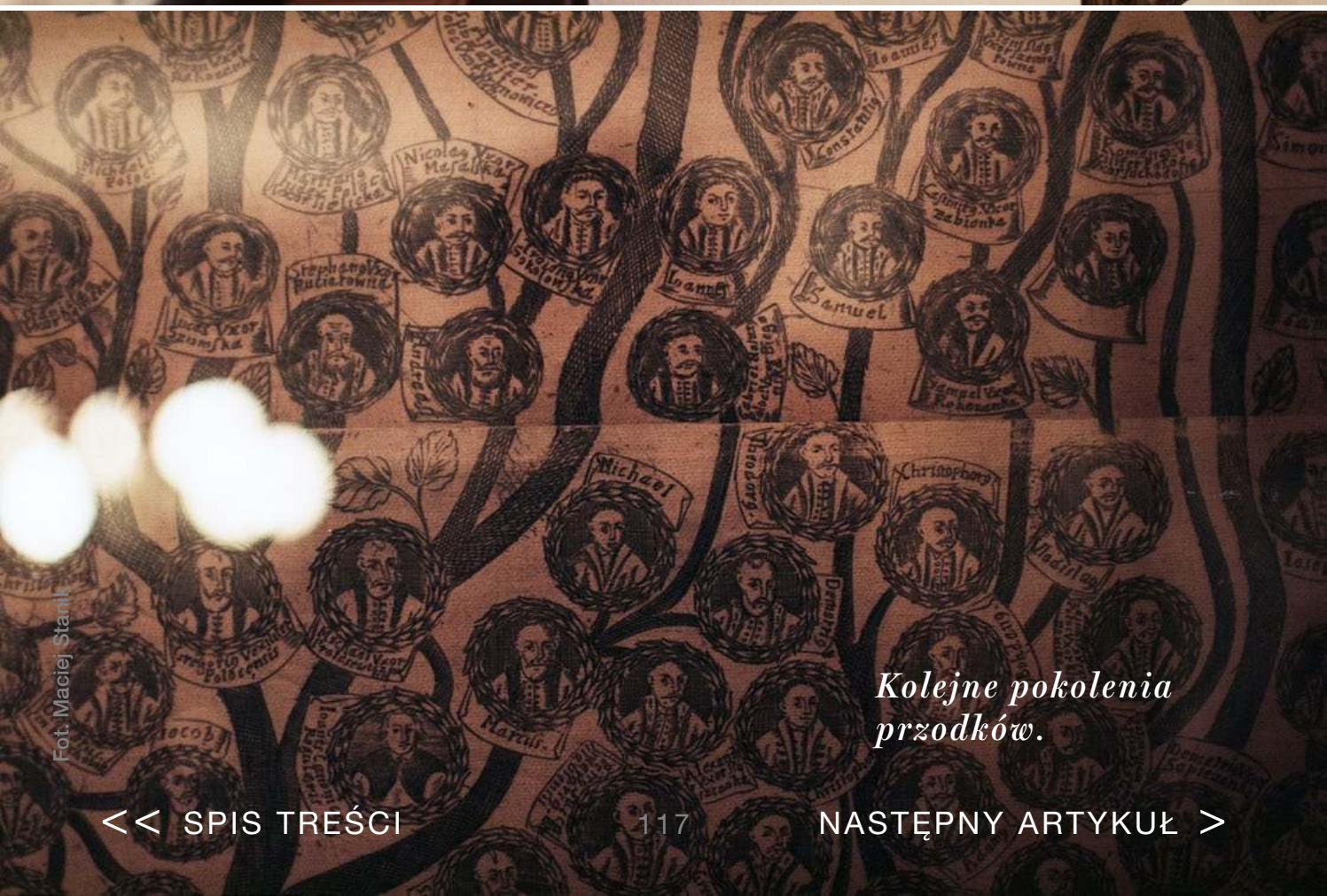
– *Musiąłem to wszystko udowadniać, a mój dziadek był bohaterem wojennym, to było po prostu żałosne. Później trzeba było jeszcze **UDOWODNIĆ, ŻE JESTEM SPADKOBIERCĄ** – mówi Korsak.*

Przez lata zmieniali się urzędnicy, każdy musiał zapoznawać się ze sprawą od nowa. Gdy już było o krok od decyzji, zażyczyli sobie choćby operat szacunkowy, a jego opracowanie to kolejne parę tysięcy. I znów czas, aż urzędnicy zdecydują, czy wszystko w wyliczeniach się zgadza. Przy innym, mniejszym majątku okazało się, że jeden z jego bliskich zniknął w czasie wojny bez śladu. Ciała nie znaleziono, dokumentów też nie, więc przed sądem najpierw toczyła się sprawa o uznanie go za zmarłego, a potem uznania Korsaków za spadkobierców.

– O jakie pieniądze chodzi? – uśmiecha się Korsak.
– Liczę, że to dla mnie będzie w granicach pięćdzie-



*Drzewo genealogiczne
rodu Korsaków.*



*Kolejne pokolenia
przodków.*

Fot. Maciej Stanik

sięciu tysięcy złotych, ale może być i trzydzieści. Za rodzinny dwór, majątek, który miał ponad dwieście hektarów, może kupimy sobie nowy samochód. Ale nawet tego ani mój ojciec nie dożył, ani moja mama nie dożyła – mówi.

Na tej sofie car prababkę całował

Drzewo genealogiczne Korsak dostał od ojca, gdy był nastolatkiem. Usłyszał wtedy, że ma kontynuować tradycję rodu. Zanim jednak zrozumiał, co to znaczy być osiemnastym pokoleniem Korsaków, musiało minąć kilkadziesiąt lat. - To drzewo zawsze było, człowiek sobie czytał z nudów. Na rodzinnej sofie po prostu oglądałem telewizję – wspomina. – Pamiętam, jak mój syn przyszedł ze szkoły i powiedział, że mamy dziwny dom, bo żaden z jego kolegów nie ma takich mebli. Do tego trzeba dorosnąć. Ja dopiero po czterdziestce, kiedy miałem już odchowane dzieci, działającą firmę, spojrzałem głębiej - mówi.

Zaczął poznawać historie Korsaków ze wszystkich linii, a dzisiaj wymienia długą listę zasług swoich

Spółeczeństwo

przodków, od bitew i powstań, przez rozkwitające majątki, gdzie sprowadzano najwyższe zdobycze techniki. Mówi z dumą o klasztorach, które stawiali Korsakowie, bo byli wojewodami i starostami. – Jeżeli na liście wyborców króla znajdujesz podpis swojego dziada, to czujesz dumę – stwierdza. – Było też przysłowie, że co krzaczek, to Korsaczek, bo Korsaków było bardzo dużo. Ale nie wszyscy byli bogaci – zaznacza.

Doceniać zaczął nawet meble, które są nie tylko przedmiotami, tylko mają w sobie historię jego rodu. Snuje opowieść, że dziadek, który był majorem, dostał przydział jako dowódca do Nowego Sącza. Dostał też willę, do której przewiózł z anińskiego dworu tyle mebli, ile zdołał. Część zabrali Niemcy, ale część przetrwała. Później dzięki stryjecznej babce dowiedział się, jak wyglądał dwór w Anińsku. Słuchał dworskich legend, z których wiele okazywało się prawdziwymi.

– Na tej sofie car Aleksander II Romanow całował ręce mojej prababki – pokazuje jeden z mebli, który

Spółeczeństwo

stoi obok fortepianu. – Okazało się, że jesteŝmy spokrewnieni z carami Rosji, a car Piotr I trzymał do chrztu Korsakówny – oznajmia.

– W holu jest lustro, w którym przeglądał się Napoleon. Też brzmi nieprawdopodobnie – kontynuuje. – Ale

„jak Napoleon szedł na Moskwę, to nie szedł tak prosto, jak się każdemu wydaje, tylko przez Połock. Tam
ZATRZYMAŁ SIĘ W GŁĘBOKIM, GDZIE MIESZKALI KORSAKOWIE – *wyjaśnia.*

Zapomniane wartości

Poza swoimi restrykcyjnymi wymaganiami odnoŝnie członkostwa, Związek Szlachty Polskiej ma teŝ deklarację ideową, w której przeczytać można o tym, że półwieczna indoktrynacja poczyniła olbrzymie negatywne zmiany w mentalności polskiego społeczeństwa, że nastąpił upadek wartości budowanych w ciągu setek lat przez pokolenia przodków,

Spółeczeństwo

że w zapomnienie odeszły szlacheckie wartości jak godność, uczciwość, obowiązkowość, honor czy patriotyzm.

— Sowiecką indoktrynację widać było niemal we wszystkich obszarach życia, choćby w edukacji, gdzie szlachtę przedstawiano jako siłę, która doprowadziła do upadku Rzeczypospolitej. Przez swoje pijaństwo i pieniactwo, przez to, że gnębili i wyzyskiwali chłopów, a sami nie stawiali się do pospolitego ruszenia – stwierdza Korsak. - Przecież szlachta fundowała szkoły, bursy dla studentów, stypendia dla wybitnie uzdolnionych uczniów, również pochodzenia nieszlacheckiego – podkreśla.

I dalej przeczytać można, że w PRL szlachta była wyszydzana, dyskryminowana, więziona, skazana na niebyt i wymazanie ze społecznej świadomości. Później o tym, że na przekór temu część środowiska szlacheckiego, świadoma pochodzenia, swojej roli w społeczeństwie, zachowała wierność tradycjom. Z drugiej strony o tym, że znaczna część zagubiła się w szarzyźnie codzienności i walce

Spółeczeństwo

o byt. Zapomnieli o pochodzeniu i wartościach, jakie szlachta, pomimo swoich wad, wniosła w życie Rzeczpospolitej.

- W polityce kulturalnej dominowała kultura robotnicza i chłopska. Absolutnie przemilczana była dominująca rola szlachty w rozwoju kultury wysokiej – kontynuuje Korsak. - Zarówno jako twórców, poetów, malarzy, pisarzy, muzyków, rzeźbiarzy, ale też jako mecenasów sztuki, twórców wielkich kolekcji i bibliotek, które potem nierzadko przekazywali na rzecz państwa – stwierdza. Dlatego

*Związek Szlachty Polskiej stawia sobie szereg celów. Po pierwsze integrować i **ORGANIZOWAĆ ŚRODOWISKO SZLACHECKIE**, po drugie propagować kulturę i nawiązujące do etosu rycerskiego obyczaje,*

po trzecie nawiązywać kontakty z polską szlachtą rozproszoną po wojnach, po czwarte przeciwdziałać

Spółeczeństwo

oczernianiu środowiska szlacheckiego, a po piąte przywracać w świadomości społecznej prawdziwy obraz szlachty polskiej. Po szóste zaś nie chce odzyskiwać przywilejów, tylko chce, aby szlachta powróciła do życia społecznego.

– Szlachta uosabia ciągłość Rzeczypospolitej. Ciągłość ma fundamentalne znaczenie dla istnienia narodu i państwa, jego kultury, tradycji i trwałości – oznajmia Korsak. – Ale samo założenie kon tusza czy zamieszkanie w historycznym dworze nie powoduje ciągłości historycznej. Przeciwnie zaburza ją, deprecjonuje, a nawet ośmiesza, bo sama materialna forma zewnętrzna nie wystarczy dla zachowania ciągłości tradycji i kultury – mówi.

Mezaliany, czyli małżeństwo Korsaków

Niemal wszystko przypomina we dworze o historii rodu, nawet rączki do szafek w biblioteczce kształtem nawiązują do herbu Korsaków, a w jedną ze ścian wmurowany jest kamień z fundamentów

Spółeczeństwo

rodzinnego dworu. Brakuje jednak drzewa żony Korsaka, Beaty. – Moja żona nie jest pochodzenia szlacheckiego – wyjaśnia Korsak. – Ale jestem z bardzo patriotycznej rodziny – dodaje po chwili Korsakowa. To zaś oznacza, że małżeństwo Korsaków to mezalians, ale zgodnie przyznają, że to udany mezalians.

– Mąż, zanim się poznaliśmy, zakochał się w moich projektach, czyli tradycyjnych polskich domach, ja zakochałam się w literaturze jego ojca – opowiada Korsakowa, która jest architektką, a od ślubu także szlachcianką. – Dlaczego chciałam przynależeć do szlachty? – dziwi się. – Nie miałam tego w planach, ale ponieważ tak się stało, to jestem. To dobrze, że kiedy jedni gubią pamięć o swojej historii, to inni pielęgnują ją w każdym pokoleniu. Poza tym to jest niesamowite środowisko, taka wiedza jest w nim zdeponowana, taka znajomość źródeł historycznych. Szlachta to powinien być nasz żywy skarb narodowy – stwierdza.

Korsak zaczyna opowiadać, że chciałby, aby szlachtę traktowano w Polsce tak, jak w Japonii.

Spółeczeństwo

*Obrazy wzmacniają
trwałość tradycji.*

*Portrety przodków
to ważne pamiątki.*

Fot. Maciej Stanik

Spółeczeństwo

– Tam funkcjonuje pojęcie żywego skarbu narodowego – wyjaśnia. – Dzięki temu

„otacza się specjalną opieką ludzi i ich umiejętności. Tak w praktyce realizuje się ciągłość kultury narodowej.

Podobnie **POLSKA SZLACHTA POWINNA BYĆ UZNANA ZA POLSKI ŻYWY SKARB narodowy** – oznajmia.

– Rody szlachty polskiej to skarbnica wiedzy o historii i tradycji państwa. W ich archiwach rodzinnych są dokumenty świadczące o prawdziwej historii Rzeczypospolitej. Żadna próba fałszowania historii w przypadku rodzin szlacheckich się nie powiedzie – stwierdza.

Tęsknota za Rzeczpospolitą

Nad telewizorem w salonie miejsce znalazł obraz, z którego Korsakowie są niezwykle dumni, a pani Korsakowa tłumaczy, że powstał, kiedy rodziny szlacheckie szykowały się do reaktywacji Rzeczypospolitej.

Spółeczeństwo

Wśród nich jest herb Korsaków. – Tu widać wszystko. W centrum jest pierwszy szlachecki król, czyli Jadwiga, powyżej najlepszy polski król elekcyjny, czyli Batory. Są zobrazowane swoimi herbami wszystkie ziemie, województwa, miasta, obok herbu Korony jest Ruś i Litwa, a tło to gęsta sieć herbów szlacheckich. Jest tam też herb Korsak – wyjaśnia Korsakowa.

Żeby szlacheckie dziedzictwo utrzymać, czyli pełnić swoją służbę, Korsakowie nie tylko odnowili dwór. Organizują też w Związku spotkania, debaty i prelekcje, na których opowiadają o historii szlachty, tłumaczą, jak zająć się genealogią swojej rodziny. Przeszukują archiwa łotewskie, litewskie, białoruskie i ukraińskie, poszukując śladów po szlacheckich rodach. Wysyłają do bibliotek w zachodnich krajach pozycje o szlachcie, aby również tam znalazła się szlachecka historia.

— Państwo szlacheckie funkcjonowało przez czterysta lat. Jeżeli ktoś mówi o klęsce tego państwa, to chciałbym raczej pogratulować długości jego istnienia. To było państwo skrojone dla szlachty,

Spółeczeństwo

ale nowoczesne i demokratyczne, wyjątkowo awangardowe – oznajmia Korsak.

– Poza tym ucisk chłopów był w Rzeczypospolitej najmniejszy w Europie – stwierdza po chwili. Odzywa się zegar, który głucho wybija kolejną godziną, a Korsak przez chwilę zbiera myśli. – Zawsze mówię tak – zaczyna. – Gdybym w Rypinie, miasteczku z dużym bezrobociem, dał ogłoszenie, że dam pracę. Ale do pracy dokładam dom, bo chłop przecież nie miał domu, potem urządzam dom i jeszcze daję ubezpieczenie. Jeżeli spali się dom, to dostajesz nowy od dworu. Pracujesz u mnie cztery dni w tygodniu, a resztę masz dla siebie. Ilu ludzi by się zgłosiło? Czy współcześnie jest jakaś firma, która proponuje podobne warunki pracy, jak szlachcic w majątku? – pyta retorycznie.

Jednak powroty spadkobierców do majątków, choć i tak rzadkie, bywają trudne nie tylko przez sądowe batalie. Bo również przez to, że w swoich dawnych okolicach nie są przyjmowani jak starzy znajomi. – Wszyscy chłopci dookoła wiedzą, że są na kradzionym. Co prawda bronią się, że dostali od państwa, odkupili

Spółeczeństwo

za własne pieniądze, ale wszyscy wiedzą, czyj był majątek. I że temu człowiekowi nikt nie zapłacił – stwierdza Korsak. – Oczywiście wtedy zaczyna się opowiadanie, że ten człowiek dorobił się na krwi ich dziadków, więc im też się należy – dodaje.

Choć Korsak kupił dwór jako osoba, która nie była związana z okolicą

opowiada, że ludzie z pobliskiego Balina byli zadowoleni, że **DWÓR JUŻ NIE STRASZY**, można się nim pochwalić znajomym.

Jak był odbudowywany, czujki z alarmem łapały mieszkańców

— Przychodziły matki z dziećmi, chłopak pokazywał dwór dziewczynie, która do niego przyjechała – wspomina Korsak. – Żyjemy w zgodzie z kołem gospodyń wiejskich, zamawiamy od nich pyszną gęsinę. A ostatnio rozmawiałem z wnuczką kucharki z majątku obok, która opowiadała, że babka zawsze wspominała, jakie

Spółeczeństwo

to były niesamowite czasy, żyło im się bardzo dobrze, zarabiali przyzwoite pieniądze – mówi.

Ale już na spotkanie u wójta ich nie zaproszono. — Dowiedzieliśmy się, że jest takie spotkanie, więc przyszliśmy posłuchać. Rzucaliśmy nasze pomysły, co byśmy zrobili, żeby cały region rozwinął się turystycznie. Nagle usłyszałem głos sekretarza gminy, że to co, jak pan z pałacu, to mamy pana słuchać? Tyle lat po wojnie i takie słowa – śmieje się Korsak.

Mają też znajomego, który kupił mały dwór niedaleko Siedlec i za każdym razem, kiedy przyjeżdża, klamki ma wysmarowane łajnem. Dlaczego? To Korsakowi trudno wyjaśnić. Domyśla się, że może przez historyczne zaszłości, może ktoś zamordował właściciela, może to wciąż stereotypy. Ale mimo wszystko obok dworu Korsakowie chcieliby postawić jeszcze jedną rzecz. Tablicę, która będzie informować, że na ich działce zaczyna się Rzeczpospolita. Nie czwarta, tylko szlachecka. 

Italian Collection

www.italian-collection.com





Fot. Paulina Breitkopf

NIE WSTYDZĘ SIĘ TVP

*Nie oto chodzi, czy będę najlepszym wokalistą w Polsce, nawet nie staram się nim być. Nie będę konkutował z Piotrem Cugowskim, kto lepiej zaśpiewa piosenkę rockową. **NIE BĘDĘ I NIE CHCĘ KONKUROWAĆ Z INNYMI WOKALISTAMI**, kto ma mocniejszy, lepszy, ciekawszy głos. Potrafię być prezenterem, showmanem, jestem muzykiem popowym. Jestem takim typem „entertainment” – **MÓWI W ROZMOWIE Z „WPROST” RAFAŁ BRZozowski**, piosenkarz, gwiazda TVP.*



Rozmawiała **Paulina Socha-Jakubowska**

Jak się pan czuje z tym, że wybór na reprezentanta Polski w konkursie Eurowizji jest tak dyskutowany?

Robię swoje. Eurowizja zawsze rozpala emocje. A sam wybór spadł na mnie dość nagle, wszystko

Społeczeństwo

potoczyło się bardzo szybko, teraz skupiam się na tym, by występ wypadł jak najlepiej.

Nagle?

To był wewnętrzny wybór stacji, potrzebna była nowa piosenka, bo zeszłoroczna nie mogła być w tym roku zgłaszana.

Dlaczego? Czytałam o aferze, że na Eurowizję miała jechać Alicja Szemplińska, bo to ona w ubiegłym roku

*Rafał Brzozowski*

piosenkarz, prezenter, gwiazda TVP, utworem „The Ride” będzie reprezentował Polskę w 65. Konkursie Piosenki Eurowizji

wygrała polskie eliminacje, tyle że COVID uniemożliwił jej w tamtym roku start.

Regulamin mówi jasno, że piosenki zeszłoroczne nie mają prawa startu, ponieważ nie są to piosenki premierowe. W tym roku, na początku marca trzeba było podać nowe utwory. Wszyscy artyści, którzy zostali poproszeni przez TVP o nadesłanie propozycji, po prostu nadesłali je.

Znam ubiegłoroczną balladę Ali Szemplińskiej, ale taki jest regulamin i ta sama piosenka nie mogła zostać zgłoszona. Trzeba było wysłać nową piosenkę.

Pan miał gotowy hit?

„NAD PIOSENKAMI NA PŁYTĘ PRACOWAŁEM OD WRZEŚNIA. *W tym roku mam jubileusz, 10-lecie pracy artystycznej, mam też okrągłe urodziny w czerwcu, zaplanowałem wydanie płyty.*

Miałem przygotowane już dwa single, a ponieważ współpracowałem z różnymi wydawcami, producen-

Spółeczeństwo

tami, działałam wspólnie z managementem, skontaktowałam się też ze znajomymi, przyjaciółmi, którzy współpracują z zagranicznymi twórcami. Zresztą sam pracowałam z Thomasem Karlssonem lata temu. I tak przyszły do mnie trzy propozycje. Wysłuchałam „The Ride”, piosenka miała powstać w wersji polskiej, ale wtedy pojawił się temat Eurowizji. Wysłuchałam wersji nagranej przez kompozytorkę, zmieniliśmy tonację, nagrałam demo i złożyłem piosenkę, jako propozycję na konkurs. Jako utwór, który może powalczyć. Piosenka została zaakceptowana, wybrana, udało się.

Utwór w bardzo krótkim czasie dorobił się ponad miliona wyświetleń na YouTube, jest grywany w stacjach radiowych, to dobry prognostyk. Cieszę się, że moja piosenka jest dobrze odbierana w Europie. To daje nadzieję na dobry wynik utworu.

Gorzej, że w Polsce na razie traktowana jest z dystansem.

Przyzwyczaiłem się do tego, byłem hejtowany za różne rzeczy. O gustach się nie dyskutuje, jednym się

mogę podobać, innym nie. Poza tym, proszę zauważyć, że wybór polskiej piosenki na ten konkurs jeszcze nigdy dla ogółu nie był oczywisty. Jak była ballada, to mówiono, że powinien być utwór taneczny. Jak dziś jest taneczny, to też źle. Liczyłem się z tym.

O czym jest ta piosenka?

„The Ride” to przejażdżka. Mogę oczywiście przetłumaczyć cały tekst...

Jest o „przejażdżce życia”, neonach, walce i chyba o miłości też. Boję się, że dla Polaków przesłanie może być nieczytelne.

To ma być lekka, fajna i przyjemna piosenka, ale przekaz jest głębszy. Chodzi o to, że po roku pandemii chcemy poczuć wreszcie energię, móc wrócić do normalności, do codzienności. Świat bardzo zwolnił, ale jednak patrząc na neony, na pulsujące światła miast, można potraktować życie jako taką przejażdżkę. Ta piosenka opowiada o pokonywaniu słabości, o tym, że trzeba się podnieść i iść do przodu.

A to, że TVP dziś grzmi, że krytykowanie pańskiej twórczości to atak na Polskę, to nie jest przegięcie?

Społeczeństwo

Ja się nie wypowiadam na ten temat. Nie odpowiadam za komunikaty PR-owe stacji, bo jestem tylko jej współpracownikiem, pracuję przy formatach rozrywkowych, skupiam się na piosence, na swoich sprawach. Stacja ma swoją politykę, z którą ja nie dyskutuję. Nawet nie wiem, co miałbym powiedzieć. Może chodzi o to, że skoro klamka już zapadła, polski reprezentant został wybrany, to wszyscy powinni go wspierać? Ale

rozumiem, że **TEMAT JEST PODGRZEWANY**, są nawet tacy, którzy twierdzą, że to dobrze, bo o piosence jest głośno.

Jak to jest być pupilkiem prezesa Kurskiego?

Nigdy nie czułem się czyimś pupilkiem.

Można odnieść takie wrażenie, że jednak pan nim jest. Prezes na pana stawia. Media kolorowe nie mają najmniejszej wątpliwości, że jest pan wyróżniany przez Jacka Kurskiego.

Spółeczeństwo

To, co opowiadają media plotkarskie, jest przykre i niesprawiedliwe, ale szkoda mi energii, by to komentować. Nie chciałbym, by moje rozmowy scho-
dziły do takiego poziomu. Zresztą proszę zauważyć, jak ja zwykle jestem przedstawiany, jakie zdjęcia są dobierane do artykułów na mój temat... Chodzi tylko o to, by mnie zdyskredytować.

Ale mnie to nie rusza. Pracuję w TVP i staram się jak najlepiej wykonywać swoją pracę. Ludzie dają mi dowody sympatii, zatem będę pracował dopóki widz Telewizji Polskiej będzie chciał mnie widzieć na jej antenach. Mamy dobre wyniki oglądalności. Gdyby programy, które robię były klapą, na pewno nie pracowałbym w stacji.

Czytałam, że sama żona prezesa Kurskiego z tylnego fotela podejmowała decyzję o tym, że pan pojedzie na Eurowizję.

Też o tym czytałem w serwisach plotkarskich. Myślę, że jeszcze wiele fake newsów zostanie wyprodukowanych tylko po to, żeby się klikało. Eurowizja jest poważnym i kosztownym przedsięwzięciem,

Spółeczeństwo

w TVP jest sztab kilkudziesięciu osób, które zajmują się konkursem – od organizacji naboru piosenki, po wyjazd reprezentanta. Tego typu teorie, o których pani wspomina, może budować tylko osoba, która nie ma pojęcia o randze i trudności organizacji udziału w Eurowizji.

Az prezesem ostatnio pan rozmawiał? Po tym, jak wybuchła cała afera wokół pańskiego startu w konkursie?

Nie, mamy się widzieć w tym tygodniu, ale nie sądzę, by „afera” z sieci była tematem rozmów. Będziemy rozmawiać o kwestiach zawodowych.

A to nie jest kwestia zawodowa?

Skupiam się na tym, co najważniejsze, przygotowaniu do występu. Chodzi o to, by najlepsi fachowcy pracowali przy tym projekcie, a właśnie takich mamy. Sięgając po produkcję szwedzką, po numer, który zbliżony jest do standardów światowych, pokazujemy, że próbujemy przebić tę barierę często wyznaczaną na Eurowizji szlakiem geopolitycznych uwarunkowań. Chcemy wykorzystać moje obycie

Spółeczeństwo

z kamerami, ułożyć to wszystko tak, jak to się robi w najlepszych projektach na świecie. Ja nie błagam o to, by mnie ludzie polubili, ale proszę o to, by dali piosence reprezentującej Polskę szansę.

Stawia pan sprawę jasno - jedzie po to, by wygrać? Czy raczej posługuje się językiem skoczków narciarskich, którzy zamiast o wygranej mówią o oddaniu dobrych skoków.

Cel pewien jest. Zawsze trzeba mierzyć wysoko, chcemy wejść do finału. Ale ja jestem bardzo zadaniowy, a przede mną trudne zadanie. Trzeba dobrze zaśpiewać na żywo, trzeba się ruszyć, zgrać się z oddechem, choreografią.

*To dla mnie wyzwanie, ale ja to lubię, myślę, że **POWINIENEM SOBIE PORADZIĆ**. Poza tym wiem, jak Eurowizję robi się od kuchni, pracowałem przecież przy juniorskim konkursie.*

Jeszcze wróć na moment do pana prezesa.

Ale ja naprawdę chciałbym się skupić na piosence i występie.

Wszystko rozumiem, ale on sam występuje w kontekście pańskiego startu, wyboru na reprezentanta. Komentuje sprawę. Widziałam ostatnio nawet nagranie, na którym Jacek Kurski komplementuje pana, mówi, że znalazł pan klucz dotarcia do widowni, że potrafi pan być chłopięcy, młodzieżowy, a jednocześnie być misterem elegancji.

Tak powiedział prezes? Pierwsze słyszę.

Fakt pokazał to nagranie kilka dni temu.

Jeżeli tak prezes mówi, jest mi miło. Ale ja po prostu staram się być sobą. Sprawdzam się na wielu polach: potrafiłem złapać kontakt z seniorami w „The Voice Senior”, z dziećmi w czasie Eurowizji Junior. Robię swoje, jak angażuję się w jakiś projekt, angażuję się na 100 procent, ale nie robię tego dla komplementów.

Skoro było o komplementach, to teraz o krytyce. Elżbieta Zapendowska powiedziała o panu, że nie każdy sympatyczny chłopak powinien śpiewać.

Społeczeństwo

Pani Elżbieta jest autorytetem, ma prawo do swoich opinii. Ale ocenia piosenkę i produkcję, myślę, że zupełnie inaczej byłoby, gdyby oceniła mnie po występie na żywo. Choć, co podkreślam raz jeszcze, szanuję jej opinię.

Czyja krytyka pana boli?

Żadna krytyka mnie nie boli. Krytyka jest potrzebna, zdążyłem się do niej przyzwyczaić. Wyszedłem ze środowiska sportowego, chciałem wszystkim udowodnić, że mogę być wokalistą. Ale przecież nie o to chodzi, czy będę najlepszym wokalistą w Polsce, nawet nie staram się nim być. Nie będę konkutował z Piotrem Cugowskim, kto lepiej zaśpiewa piosenkę rockową. Nie będę i nie chcę konkutować z innymi wokalistami, kto ma mocniejszy, lepszy, ciekawszy głos. Potrafię być prezenterem, showmanem, jestem muzykiem popowym. Jestem takim typem „entertainment”. Mogę wyjść na scenę w duecie z Ireną Santor czy Alicją Węgorzewską i poradzę sobie, a mogę też zrobić show. W innych krajach tacy ludzie są pożądani.

Spółeczeństwo

Sama krytyka jest potrzebna, jest bezpiecznikiem, zawsze dobrze poznać inny punkt widzenia. Ale też trzeba pracować nad samooceną. A ja uważam, że to co robię, robię dobrze i nie mam sobie nic do zarzucenia. Nie robię nic złego.

To skąd się bierze ta niechęć do pana?

”*Musimy sobie zdawać sprawę z tego, że **KRAJ JEST MOCNO PODZIELONY.** I światopoglądowo, i politycznie, i nawet muzycznie.*

Czyli sądzi pan, że ta niechęć związana jest z pracą na Woronicza?

Na pewno tak. Wystarczy poczytać komentarze.

Ale pan się TVP nie wstydzi?

Absolutnie. Dlaczego miałbym się wstydzić? Tutaj pracuję, tutaj spełniam się i rozwijam. Staram się być całkowicie apolityczny, bo pracuję w rozrywce, a uważam, że w rozrywce nie powinno być polityki. Choć przecież mieliśmy takie sytu-

Spółeczeństwo

acje, np. przy festiwalu w Opolu, kiedy artyści podzielili się.

Na tych, którzy chcą wystąpić i tych, którzy bojkotują TVP.

Tak. Ale uważam, że to niepotrzebne. Każdy artysta ma też prawo wyboru, czy chce zabierać głos w tematach politycznych czy nie. Ja zajmuję się rozrywką i na tym się skupiam. 

NIE MA LITOŚCI DLA PSA

*Misiek – pupil młodzieży z ośrodka
Ochotniczego Hufca Pracy w Jaciążku.*

*Misiek to pies pomagający trudnej młodzieży w ośrodku Ochotniczego Hufca Pracy w Jaciążku. Gdy kierownik ośrodka wystąpił z wnioskiem o 150 zł na karmę dla niego, komendant Mariola Rabczon-Mazowiecka, nominantka Porozumienia w mazowieckim OHP, odpowiedziała, że „nie wyraża zgody”. I **ZAMIAST DAĆ PIENIĄDZE NA KARME DLA PSA, ZWOLNIŁA KIEROWNIKA.***



Tekst: **Marcin Dobski**

Ochotnicze Hufce Pracy kojarzą się z reliktem dawno minionych czasów, ale nadal są bardzo ważną organizacją. Pracują z trudną młodzieżą, pomagają zdobyć jej zawód i wprowadzić na rynek pracy. Przez ostatnie 15 lat OHP udzieliły wsparcia ponad 116 tys. młodych

Spółeczeństwo

Polaków, realizując projekty za ponad 600 mln zł. Są też mniej popularnym łupem politycznym, obecnie we władaniu ludzi wicepremiera Jarosława Gowina.

Od grudnia nową komendant w mazowieckim OHP jest Mariola Rabczon-Mazowiecka, w przeszłości radna Platformy Obywatelskiej, później związana z Bezpartyjnymi Samorządowcami, a obecnie z Porozumieniem.

W Ośrodku Szkolenia i Wychowania w Jaciążku, który podlega pod zarządzaną przez nią jednostkę, mieszka od kilku lat pies, który wabi się Misiek. Jest pupilem mieszkającej tam młodzieży. Zwierzak na terenie dużego ośrodka ma swoją zagrodę z wybiegiem oraz budą. I nieoczekiwanie stał się zarzewiem konfliktu.

„Nie wyrażam zgody”

– Pies jest niegroźny, bardzo towarzyski i chętnie bawi się z dziećmi – opowiada nam jeden z pracowników ośrodka. – Formalnie nie jest na etacie

Społeczeństwo

OHP, ale mieszka z nami od kilku lat i nigdy nie było z nim problemów. Dobrze wpływa na dzieciaki.

W ośrodku w Jaciążku jest kuchnia, która serwuje posiłki dla młodzieży. Dla Miśka zostają resztki jedzenia, ale nie zawsze one są, poza tym pies potrzebuje zbilansowanej diety i dlatego kierownik jednostki kupował dla niego także psie jedzenie w puszkach.

Na wydanie służbowych pieniędzy
POTRZEBNA JEST JEDNAK PISEMNA
ZGODA *mazowieckiego OHP, czyli*
komendanta.

Poprzedni komendanci nie żałowali na jedzenie dla zwierzęcia. Nowy wniosek z prośbą o 150 zł na karmę dla psa wysłano 22 lutego 2021 r. Jednak, ku zaskoczeniu pracowników ośrodka, w marcu nadeszła podpisana przez panią komendant negatywna odpowiedź.

Skarga na komendant

– Z poprzednikami nie było żadnych problemów, aby uzyskać zgodę. Pani komendant tak mnie zderwowała tą odmową, że nie mogłem wytrzymać i napisałem tego maila – mówi „Wprost” Leszek Nażgiewicz, dotychczasowy kierownik ośrodka w Jaciążku.

O co chodzi? Nażgiewicz w emocjach wysłał maila do 300 pracowników Ochotniczych Hufców Pracy, w tym do Komendy Głównej OHP, na czele z jej szefem Grzegorzem Walterem. Żali się w nim na decyzję Rabczon–Mazowieckiej.

„Pani komendant, normalnym ludziom to się w głowie nie mieści” – zaczyna się treść wiadomości. Nażgiewicz w mailu zwraca uwagę na to, że są dni w działalności ośrodka, gdy kuchnia nie działa, więc nie ma czym karmić Miśka i w takich momentach potrzebna jest wspomniana karma.

„Dzieci nazywają go Misiek i w wolnych chwilach bardzo chętnie się z nim bawią, wieczorami jest

Spółeczeństwo



Fot. Facebook

*Mariola Rabczon-Mazowiecka
(po prawej) z ważną postacią
w PO Hanną Gronkiewicz-Waltz.*

Spółeczeństwo

wypuszczany ze swojego ogrodzenia, aby mógł sobie pobiegać po terenie ośrodka. Można go traktować jako pupila, ale również obrońcę i pomocnika podczas dyżurów w ośrodku, szczególnie nocnych” – pisze w mailu Nażgiewicz.

Były już kierownik ośrodka w Jaciążku ubolewa nad losem psa, jednocześnie proponując rozwiązania, skoro komendant nie chce przeznaczyć pieniędzy na karmę: „Taka sytuacja powoduje kilka możliwości: któryś z pracowników zabierze go do siebie, oddajemy Miśka dobrym ludziom na dochowanie, znajdujemy miejsce w schronisku dla zwierząt – bądź należy psa uśpić, aby nie zjadał karmy”.

Mail przyniósł efekt inny od zamierzonego. Misiek dalej nie dostał pieniędzy na karmę, za to z Leszkiem Nażgiewiczem rozwiązano umowę o pracę. Na polecenie komendant mazowieckiej.

„Nie ma litości”

– Jestem nowym komendantem, u którego nie ma litości i wszystko musi być zgodnie z literą

Społeczeństwo

prawa – mówi „Wprost” Mariola Rabczon-Mazowiecka, gdy pytamy dlaczego nie wyraziła zgody na kupno karmy.

– *Nie chodziło o tego pieska i karmę. Nie może być tak w placówkach, gdy nie prowadzimy takiej działalności, żeby utrzymywać z państwowych pieniędzy zwierzęta. **NIE MAM PARAGRAFU NA TO, ŻEBY KUPOWAĆ KARMĘ DLA ZWIERZĄT** – tłumaczy pani komendant.*

Zauważamy w rozmowie, że poprzedni komendanci wyrażali zgodę na zakup karmy i nie robili z tego problemu. – To było niezgodne z przepisami prawa. Tam jeszcze dochodziły szczepienia i wszystkie inne rzeczy, które pies powinien mieć zapewnione – wylicza Rabczon-Mazowiecka. Jednocześnie informuje nas, że w ośrodku w Jaciążku mieszkają dzieci i jest kuchnia, w której zostają resztki jedzenia, więc nimi

Spółeczeństwo

można karmić Miśka. Dodaje, że rozmawiała też z pracownikami, że co jakiś czas można robić zrzutki na suchą karmę dla psa.

Po jej odmowie, taką zbiórkę zrobili pracownicy OHP. Choć komendant mazowiecka zapewnia nas, że nie pozwoliłaby, aby Misiek chodził głodny, to gdy pytamy, czy dołożyła się do tej zbiórki, odpowiada, że nie zdążyła, bo Nażgiewicz zorganizował ją w ciągu kilku godzin.

Leszek Nażgiewicz uważa, że został zwolniony dyscyplinarnie, bo zareagował emocjonalnie na odmowę komendant wojewódzkiej. Mariola Rabczon-Mazowiecka twierdzi, że zwolnienie pracownika nie wynikało z sytuacji związanej z psem. Sprawa najpewniej skończy się w sądzie pracy. Misiek na razie ma co jeść, ale karmy ze zbiórki nie starczy na długo. 

wprost

SERWIS SPECJALNY BEZPIECZEŃSTWO ENERGETYCZNE

NAJNOWSZE INFORMACJE ZWIĄZANE Z SEKTOREM ENERGETYCZNYM

SPRAWDŹ >

PARTNERZY STRATEGICZNI

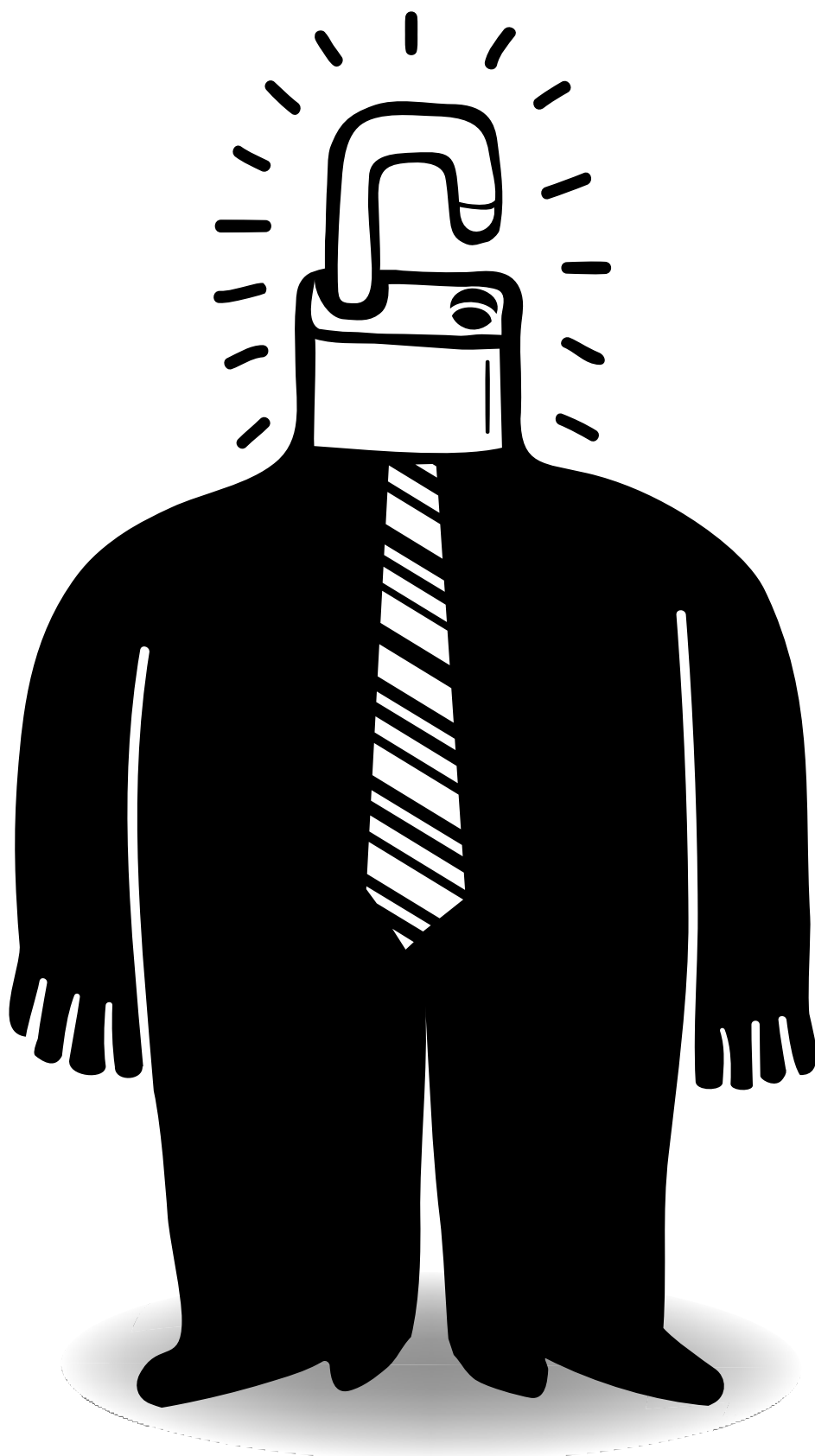


PARTNER GŁÓWNY



PARTNERZY





Fot. Shutterstock

POKONAJ WYUCZONĄ BEZRADNOŚĆ

*„Z tego nic nie wyjdzie. Już wszystkiego próbowałem. **WINNI SĄ BANKIERZY, POLITYCY, NIEUCZCIWI WSPÓLNICY**”. Znasz takie myśli? Naukowcy mają na to nawet określenie: wyuczona bezradność. Jak sama nazwa wskazuje, jest ona „wyuczona”. A skoro tak, to znaczy, że można także nauczyć się rozwiązań, które nas z tej bezradności i bezsilności wyrwą.*



Tekst: **Piotr Paweł Wydrzyński**

Kilka lat temu dr hab. Joanna Moczydłowska przeprowadziła badania nad osobami bezrobotnymi, zarejestrowanymi w kilku urzędach pracy, które deklarowały chęć podjęcia pracy zarobkowej. W ankietach zapytano 119 osób, jaką aktywność podejmują w tym celu. Aż 39 osób przyznało, że nie robią nic lub w ogóle nie odpowiedziały na pytanie. Uzasadniając swoją bezczynność 13 badanych wskazało, że szukanie pracy nie ma żadnego sensu. A to z powodu, że pracy dla nich nie ma.

Prawda jest jednak taka, że osoby te, po wcześniejszych – prawdopodobnie wielokrotnych - nieudanych próbach wyjścia z bezrobocia, poddały się sytuacji w której tkwiły, wskazując na zewnętrzne przyczyny złego stanu rzeczy. To nie one były winne ich bezrobociu, tylko inne osoby i okoliczności. Dzięki temu czuły ulgę, bo przecież dobrze wiedziały, że nic od nich nie zależy i nie ma sensu podejmować jakichkolwiek działań.

Żyły w przekonaniu, że każda aktywność zakończy się porażką. A gdyby jednak pojawiło się jakieś rozwiązanie, które mogłoby zmienić ich los, to nawet by go nie dostrzegały. Były bezrefleksyjnie skoncentrowane na swoim marnym położeniu. I na innych osobach i okolicznościach winnych ich beznadziejnej sytuacji. I znajdowały liczne wymówki, byleby tylko



Piotr Paweł Wydrzyński

- prawnik, inżynier, psycholog. Wykonuje zawód doradcy restrukturyzacyjnego i terapeuty. Od 2001 roku jest czynnym syndykiem, zarządcą, nadzorcą i pełnomocnikiem w wielu postępowaniach upadłościowych i restrukturyzacyjnych. Prezes zarządu spółki Wydrzyńscy S.A., specjalizującej się w rozwiązywaniu sytuacji kryzysowych w biznesie, w życiu, w finansach osobistych.

nie podjąć działań. Zadziałał natomiast mechanizm „wyuczonej bezradności”.

Nie inaczej sprawy mają się z osobami zadłużonymi.

Historia Andrzeja

– Z tego nic nie wyjdzie. Już wszystkiego próbowałem – rozpoczyna swoją opowieść Andrzej, pytany, dlaczego nic nie robi w kwestii swojego zadłużenia.

– Windykatorzy mnie nękają, nie chcą się dogadać, a komornika nic nie interesuje. Ściąga mi pieniądze z wynagrodzenia i mówi, że to mało – kontynuuje.

Blisko czterdziestopięcioletni mężczyzna, żonaty, z dwójką dzieci, mieszkający w niewielkim mieście już dawno się poddał. Wielotysięczne długi, których nie będzie prawdopodobnie w stanie spłacić do końca życia, są ogromnym ciężarem, z którym „nauczył się żyć”. I uważa, że nic nie da się z tym zrobić. Próbował się dogadywać z wierzycielami, coś tam czytał o upadłości, rozmawiał z kilkoma osobami. Żadne rozwiązanie nie jest dla niego, nie da się, nic

nie może zmienić. Traumatyczne doświadczenia z dzieciństwa utwierdzają go jedynie w tym przekonaniu. Jego ojciec, nie mogąc poradzić sobie z życiowymi trudnościami, popełnił samobójstwo. A matka zawsze „uczyła” go ustępować, nie wdawać się w konflikty, żyć skromnie, na uboczu.

Kilka lat temu, pomimo tych „życiowych” doświadczeń, Andrzej próbował wyrwać się z bezsilności i bezradności. Chciał otworzyć biznes,

„*miał pomysł, możliwości, **BRAKOWAŁO JEDYNIIE KAPITAŁU. POŻYCZYŁ.** Nie mógł na czas spłacić którejś raty, biznes nie ruszył zgodnie z oczekiwaniem, jednak pełen wiary, że się uda, pożyczał dalej.*

Spłacał stare raty nowymi pożyczkami. Do tego trzeba było z czegoś żyć. Pętla zadłużenia zaciskała się coraz mocniej, aż w końcu „zrozumiał”: „nic nie wskóram, to nie dla mnie, nie uda się”.

Żeby miał chociaż jeden dobry przykład wśród osób bliskich, że można, że się da, że działając mądrze, konsekwentnie i z wiarą w sukces, ten sukces w końcu nadejdzie. Tak nie było. Matka powtarzała: „a nie mówiłam?”, a cień ojca przesłaniał przyszłość.

Poddał się, znalazł pracę na etacie. Już nie myśli o „wyrywaniu się” gdziekolwiek. I nie widzi, że ma już doświadczenie w organizowaniu biznesu. Że to, czego nauczyło go trudne zderzenie z rzeczywistością, można wykorzystać. Że następnym razem ma szansę nie popełnić tych samych błędów. Może popełni inne, ale na pewno będzie bardziej uważny. A nawet gdyby jednak nie zdecydował się na uruchamianie kolejnego „biznesu”, to i tak wyrwanie się z obezwładniających długów pomogłoby polepszyć sytuację rodziny.

Żona Edyta widzi, jak bardzo Andrzej się zmienił. To nie ten sam człowiek, którego знаła. Dzisiaj Andrzej we wszystkim jest na „nie”, a winni są

zawsze „oni”: bankierzy, politycy, nieuczciwi wspólnicy i... niestety ona, bo niczego nie rozumie.

Dzisiaj na niewiele ich stać, niewiele mogą, patrzą oboje w przyszłość z niepokojem. Może jednak dobrze byłoby pozbyć się tego lęku, strachu, bezradności, bezradności?

Badania Seligmana i Maiera

Naukowe podstawy mechanizmu „wyuczonej bezradności” opracowali Martin Seligman i Steven Maier. W roku 1965 przeprowadzili eksperymenty, w których badaniom poddali trzy grupy psów. Badania były wyjątkowo nieetyczne, niemniej przeszły do historii, jako jedne z najbardziej doniosłych. Psy umieścili w osobnych klatkach, a eksperyment był podzielony na dwie fazy.

W pierwszej fazie, pierwsza grupa psów nie była poddawana jakimukolwiek oddziaływaniu. Druga grupa otrzymywała wstrząsy elektryczne, które ustępowały po naciśnięciu dźwigni. Trzecia grupa psów również otrzymywała wstrząsy, które jednak trwały

dalej, pomimo naciskania na dźwignię. Wstrząsy pojawiały się całkowicie losowo. Wydawały się nieuniknione. W drugiej fazie eksperymentu, psy z każdej grupy umieszczano w innych klatkach. W nich również pojawiały się wstrząsy elektryczne. Była jednak możliwość ucieczki z klatki. Wystarczyło, aby pies przeskoczył niską barierkę.

„*Obserwacje, poczynione przez badaczy, stały się dla nich podstawą opisu mechanizmu „WYUCZONEJ BEZRADNOŚCI”*”

Otóż, psy, które nie były poddawane wstrząsom elektrycznym, zachowywały się zgodnie z oczekiwaniami. Korzystały z możliwości ucieczki, przeskakiwały barierkę, unikając wstrząsów. Podobnie reagowały psy, które wcześniej mogły ich uniknąć (poprzez naciskanie dźwigni). Wcześniejsze doświadczenie w eliminowaniu zagrożenia wzmocniło bowiem umiejętność poszukiwania korzystnych rozwiązań.

Natomiast psy z grupy poddawanej nieuniknionym wstrząsom były całkowicie bierne, apatyczne i zrezygnowane. Ich wcześniejsze doświadczenie – braku możliwości uniknięcia wstrząsów – „nauczyło” je, że na nic nie mają wpływu. Nie były w stanie przeskoczyć barierki, nawet, gdy badacze przenosili je siłą, pokazując, że jest droga ucieczki. Brak świadomości, umiejętności i doświadczenia, że można uniknąć wstrząsów spowodował powstanie mechanizmu „wyuczonej bezradności”.

Wcale tak dalej nie musi być

Skutki wyuczonej bezradności u osób zadłużonych to nie tylko bierne poddawanie się sytuacji. To nie tylko „zgoda” na życie pod presją windykatów i „akceptacja” komorniczej egzekucji do końca życia. To także bierność w poszukiwaniu pracy, bierność w dbaniu o swoje zdrowie, ogólnie bierność w dbaniu o swoje sprawy. To bezwiedne organizowanie swojego życia wokół osób, okoliczności i instytucji pomagających przetrwać. I utwierdzanie się w przekona-

niu, że na zainteresowanie ze strony innych osób można liczyć tylko wtedy, gdy „źle nam się wiedzie”. To trwanie. Jedynie trwanie.

Wyuczona bezradność jest... „wyuczona”. A skoro jest efektem procesu edukacji, to znaczy, że można także nauczyć się rozwiązań, które wyrwą nas z tej bezradności i bezsilności. Pozwolą wyjść na prostą, pozwolą wyrwać się z niebytu, pozwolą na nowo żyć! Trzeba tylko się nauczyć, jak to zrobić. 

PARTIA MERKEL W TARAPATACH

Fot. Omer Messinger / ddp images / Forum

<< SPIS TREŚCI

NASTĘPNY ARTYKUŁ >

*Chadecy Angeli Merkel tracą poparcie w kolejnych landach. Polityczna emerytura niemieckiej kanclerz może oznaczać także **KRES DOMINACJI CDU W NIEMCZECH.***



Tekst: **Jakub Mielnik**

Każdy, kto dziś narzeka na jednoznacznie pro-rosyjski kurs niemieckiej polityki, może za chwilę zacząć tęsknić za epoką Angeli Merkel. Skończy się ona we wrześniu tego roku, gdyż rządząca od 16 lat Niemcami kanclerz nie zamierza ubiegać się o reelekcję. Wiele wskazuje jednak na to, że przygotowana przez nią starannie sukcesja władzy może w ogóle się nie udać. CDU, partia, którą formalnie niemiecka kanclerz przestała kierować już w 2018 roku traci poparcie w kolejnych niemieckich landach.

Zagranica

Wskazują na to choćby wyniki wyborów do parlamentów krajowych landów Badenii-Wirtembergii i Nadrenii-Palatynatu, które odbyły się 14 marca. W obu tych landach CDU straciła aż 15 procent wyborców. W Badenii Zieloni zwiększyli swoją dominację nad CDU, która zanotowała najgorszy wynik w historii landu, uważanego niegdyś za bastion chadecji. W Palatynacie, skąd wywodził się sam Helmut Kohl, kanclerz, który zjednoczył Niemcy, chadecy utrzymali swoje drugie miejsce po socjalistach, ale za to Zieloni podwoili swoje poparcie.

Wszystko to oznacza, że CDU będzie musiała się mocno napracować, żeby po wrześniowych wyborach do Bundestagu utrzymać dość mandatów, by stworzyć kolejną koalicję rządową.

Ofiary pandemii

Erozja poparcia dla wielkiej partii ludowej, zdolnej mobilizować bardzo różne a przez to szerokie masy wyborców, jest ściśle związana z pandemią. A ta

Zagranica

nie jest łaskawa dla Merkel i jej partii. Znani ze sprawnego zarządzania i świetnej organizacji Niemcy nie okazali się wcale lepsi od znacznie niżej ocenianych sąsiadów. Rząd w Berlinie poległ np. na wprowadzaniu aplikacji, mającej pomagać w walce z Covid-19. Prasa wytknęła także rządowi, że nie pomyślał zawczasu o wprowadzeniu e-recept, które wcześniej zastosowali np. Polacy.

Opór Niemców wobec pandemicznych obostrzeń okazał się tak duży, że władze musiały wyprowadzić na ulic znaczne siły policyjne, które bezwzględnie i brutalnie tłumią wszelkie demonstracje. Ich źródłem jest m.in. niedostatek programów pomocy dla tych gałęzi gospodarki, które tracą na lockdownach. Najbardziej irytuje jednak Niemców niedostatek szczepionek, produkowanych przecież przez niemieckie koncerny. Winę za ten stan rzeczy ponosi Komisja Europejska, która przejęła zakupy szczepionek na poziomie europejskim. Rykoszetem problem uderza jednak w Merkel i jej partię, bo każdy Niemiec dobrze

Zagranica

przecież wie, jakie wpływy w Brukseli ma chadecki rząd w Berlinie.

Korupcja w szeregach

„Chadeków dobija także **AFERA KORUPCYJNA W SZEREGACH PARTII**, rozkręcająca się od początku marca. Dotyczy ona przyjmowania przez posłów do Bundestagu łapówek w zamian za ułatwienia w uzyskiwaniu rządowych zamówień na maseczki,

będące głównym narzędziem w walce z pandemią. Partyjne legitymacje oddało już w związku z tym trzech członków CDU, wśród nich wiceszef klubu chadeckiego w Bundestagu, Georg Nusslein, któremu zarzuca się korupcję na sumę 660 tysięcy euro.

W innej aferze immunitet parlamentarny stracił Axel Fischer, oskarżony o przyjmowanie pieniędzy

Zagranica

od rządu Azerbejdżanu w zamian za promowanie jego interesów na forum Rady Europy. Fischer jest posłem z Badenii Wirtembergii, gdzie chadekom nie tylko nie udało się odbić landu z rąk Zielonych, ale wręcz stracili kolejne rzesze wyborców.

Próżnia po Merkel

W obliczu tych problemów chadecy liczą, że po raz kolejny na ich korzyść zagra przywiązanie Niemców do stabilizacji i świętego spokoju, zapewnianego od 16 lat przez CDU. Partia ciągle zachowuje kilkuno-stoprocentową przewagę nad konkurentami. Jednak wyniki wyborów regionalnych w zachodnich landach pokazują, jak szybko można tę przewagę stracić.

Magia Angeli Merkel przestała już działać. Niemiecka kanclerz jest mało aktywna, sprawiając wrażenie, jakby chciała przeczekać te kilka miesięcy, które zostały do jej emerytury, zapowiedzianej 3 lata temu.

Ogłoszenie końca kariery z takim wyprzedzeniem miało dać chadekom czas na znalezienie godnego

Zagranica

następcy Merkel. Tak się jednak nie stało. Namaszczona przez nią samą na następczynię Annegret Kramp-Karrenbauer okazała się na tyle słaba, że w styczniu tego roku zastąpił ją Armin Laschet. Premier Północnej Nadrenii Westfalii reprezentuje umiarkowanie konserwatywne skrzydło partii. Jego zadaniem jest zapewnienie CDU większej wyrazistości programowej. Szeregowi członkowie od dawna narzekają na problemy z tożsamością chadecji, która rozmyła się w pogoni za władzą, wymuszającą podkradanie pomysłów socjalistom, liberałom i zielonym.

Skręt chadecji w lewo, któremu patronowała Merkel, zapewnił jej 16 lat dobrych dla Niemiec rządów. Ich efektem ubocznym było jednak pojawienie się skrajnej prawicy, reprezentowanej przez AfD, która po raz pierwszy w powojennej historii Niemiec wprowadziła pokaźną liczbę posłów do Bundestagu.

Stratedzy CDU tak skupili się na zagrożeniu ze strony prawicowych populistów, że przegapili

zagrożenie ze strony Zielonych. Wobec spadającego poparcia dla AfD to oni stali się realną alternatywą dla dominacji chadeków.

Kolos się chwieje

Z pozoru CDU ciągle jest największą siłą polityczną w Niemczech. Jednak 16 lat u władzy robi swoje. Jak każda siła rządząca tak długo, CDU także się degeneruje, co pokazują łapówkarskie afery w ścisłym partyjnym kierownictwie. Pogłębiają one poczucie zmęczenia CDU. Szczególnie w sytuacji, gdy władza w Niemczech, jak każda zresztą, wystawiona jest na skutki pandemii. Nie jest ona oczywiście winą Merkel ani jej partyjnych kolegów.

Także problemy, jakie generuje, jak choćby brak szczepionek, mają swoje źródła w nieudolności Komisji Europejskiej a nie rządu w Berlinie. Wyborcy niemieccy wiedzą jednak dobrze, że to nikt inny jak Angela Merkel obsadziła Ursulę von der Leyen na czele Komisji w Brukseli. A więc to ona pośrednio ponosi odpowiedzialność za jej błędy.

Zagranica

Efekt jest taki, że CDU traci w Niemczech opinię siły sprawczej, zdolnej radzić sobie w kryzysowej sytuacji. W badaniach, które opublikowano po wyborach w Badenii i Palatynacie jasno widać, że

na pierwszym miejscu partii, zdolnych rozwiązywać niemieckie problemy społeczne, **WIĘKSZOŚĆ WYBORCÓW WYMIE-
NIA ZIELONYCH** a nie CDU.

Co po chadekach?

Do wyborów w Niemczech jeszcze pół roku i wiele może się w tym czasie wydarzyć. Warto jednak już teraz zastanowić się, jak ich ewentualna klęska zmieni niemiecką politykę, szczególnie z polskiego punktu widzenia. Zieloni, obstawiani coraz częściej jako potencjalni zwycięzcy wrześniowej elekcji, przeszli poważną metamorfozę, zmieniając się z partii ekologicznych radykałów w reprezentację wielkomiejskiej klasy średniej. Choć kiedyś przypisywano im niejasne powiązania

Zagranica

z sowieckim KGB, dziś ich liderzy są znacznie bardziej sceptyczni wobec Rosji niż Merkel i jej gabinet. Tego oczekuje od nich zresztą elektorat, wyczulony znacznie bardziej na autorytarne zapędy Putina niż wielki biznes niemiecki, powiązany z CDU.

Wiele zależy też od tego, z kim Zieloni będą tworzyć koalicję rządową po wyborach. W Badenii świetnie dogadują się już od kilku lat z chadekami. Może więc skończyć się na tym, że mimo słabszego niż spodziewany wyniku, CDU pozostanie u władzy, z Zielonymi w roli koalicjanta. W takim układzie jest szansa na korekty polityki niemieckiej wobec Rosji, np. w sprawie Nord Stream 2, który ma coraz więcej przeciwników wśród chadeckich posłów. W obliczu tak głośnych medialnie wydarzeń, jak otrucie Aleksieja Nawalnego coraz trudniej jest im tłumaczyć wyborcom przywiązanie rządu do Nord Stream 2.

Równie dobrze jednak wynik wyborów może być taki, że chadecy zostaną w ogóle odsunięci od wła-

Zagranica

dzy. Zielonym przyjdzie stworzyć rząd z socjalistami, których był lider Gerhard Schroeder pracuje obecnie dla Putina. Wtedy może się okazać, że wyczuleni na niemiecką słabość wobec Rosji politycy w Polsce zaczną nagle bardzo tęsknić za epoką Angeli Merkel. 



*Ursula
von der
Leyen*

Fot. AFP Pool/Associated Press/East News

WOJNA UNII ZE SZCZEPIONKĄ

*Straszenie ludzi szczepionką AstraZeneca, to paliwo dla antyszczepionkowców, podważające zaufanie Europejczyków do programu szczepień. Komisja Europejska poległa na nim z kretesem, ale **DZIŚ NIKT NIE PYTA JUŻ O KORUPCJĘ PODCZAS NEGOCJOWANIA UMÓW Z KONCERNAMI FARMACEUTYCZNYMI.***



Tekst: **Jakub Mielnik**

Zdaje się, że znaleziono w końcu cudowny sposób na wyplątanie się z fiaska szczepień w UE. Chroniczna niezdolność do zapewnienia wystarczającej ilości szczepionek staje się poważnym obciążeniem dla polityków we Francji, Niemczech czy Holandii, gdzie toczą się kampanie

Zagranica

wyborcze. Winę ponosi Komisja Europejska, ale wygląda na to, że główne państwa europejskie postanowiły uwolnić ją od tego ciężaru i przenieść go na producentów. A właściwie tylko na jednego producenta, starannie wybierając jego pochodzenie. Nie jest nim Pfizer, którego szczepionki są najbardziej poszukiwane, i który notorycznie odmawia realizacji składanych przez UE zamówień.

Czy nie powinniśmy zatem pytać, jak to możliwe, że szefowa Komisji Europejskiej, była niemiecka minister obrony, Ursula von der Leyen dopuściła do zawarcia umowy, która pozwala Pfizerowi tak pogrywać z UE? Dlaczego Komisja, która udzieliła współpracującej z Pfizerem niemieckiej firmie BioNTech unijnych dotacji na stworzenie antidotum na Covid-19, nie zabezpieczyła w umowie prawa do pierwokupu leku? Kto w Komisji pozwolił Pfizerowi na sprzedaż szczepionek najpierw tym, którzy więcej zapłacą a nie tym, którzy je sfinansowali?

Pytania te jednak jakoś nie padają. Nic nie słychać też o tym, żeby unijna agencja antykorupcyjna OLAF

Zagranica

badala proces negocjowania umowy między firmami farmaceutycznymi a Komisją, albo chociaż sprawdziła, jacy lobbyści odwiedzali w stosownym czasie biura Komisji. Zamiast tego mamy ogólnoeuropejską histerię w sprawie AstraZeneca. Koncern ma w UE tę zaletę, że nie jest już unijny, tylko brytyjski. Od czasu Brexitu wszystko, co brytyjskie jest w UE złe. Szczególnie, gdy jest lepsze, jak np. program szczepień. Kilkanaście milionów Brytyjczyków przyjęło już AstraZenekę. Jakoś nikt nie słyszał o zagrożeniu dla ich zdrowia.

Słuchać było za to wyraźnie premiera Borisa Johnsona, który mówił, że
WIELKA BRYTANIA W PRZECIWIENSTWIE DO UE, ZADBAŁA *o zapewnienie obywatelom wystarczającej ilości szczepionek.*

Rząd Jej Królewskiej Mości zapowiedział też, że przy tym tempie szczepień do sierpnia Covid-19 zostanie na Wyspach opanowany i skończą się uciążliwe lockdowny. W UE zabrzmiało to jak potwierdzenie

nie najgorszych koszmarów, w których Brytyjczycy po Brexicie radzą sobie lepiej a nie, gorzej.

Tak się umywa ręce

Nie wątpię, że u podstaw decyzji o wstrzymaniu szczepień brytyjską szczepionką leży autentyczna troska o zdrowie i życie obywateli. Czy jednak podejmowane w panicznym stadnym pędzie działania nie są oparte na zbyt kruchych podstawach? WHO i Europejska Agencja Leków podtrzymują jak na razie pozytywną opinię o preparacie AstraZeneca.

Przedstawiciele firmy mówią, że te kilka odnotowanych przypadków zatorów u zaszczepionych to i tak grubo poniżej przewidywanego promila niepożądanych skutków ubocznych. Dotyczą one przecież wielu innych powszechnie stosowanych w UE leków. Jeśli więc problem z AstraZeneca nie jest medyczny, to zostają nam dociekanie, o co w tym wszystkim chodzi?

Na pierwszy plan wysuwają się kwestie wizerunkowe. Rozpętanie wielkiej hysterii w sprawie drugiej po produkcie Pfizera najpopularniejszej szczepionki

Zagranica

na świecie z pewnością zdejmuję odpowiedzialność z innych ośrodków. Czyste sumienie mogą mieć rządy krajów członkowskich UE, na które spada przecież cała społeczna presja na niedostatki programu szczepień. Kanclerz Merkel, prezydent Macron, szefowie rządów Włoch, Holandii, Hiszpanii i krajów skandynawskich mogą teraz z czystym sumieniem rozłożyć ręce i powiedzieć: chcielibyśmy was uwolnić od Covid-19, ale nie możemy tego zrobić dla waszego własnego bezpieczeństwa. Nikt już nie będzie podsuwał im pod oczy statystyk szczepień w Wielkiej Brytanii jako dowodu na to, że państwa UE pozostają w tej kwestii daleko w tyle. Dziś każde dziecko w Unii już przecież wie, że Brytyjczycy tak zgłupieli po Brexicie, że szczepią się niesprawdzoną trucizną.

Co jest wygodne dla Komisji

Zamieszanie wokół AstraZeneca jest także bardzo wygodne dla Komisji Europejskiej. Głównym problemem w walce z pandemią w UE jest teraz brytyjska szczepionka, a nie Komisja, niezdolna do

Zagranica

zapewnienia właściwego poziomu dostaw. Idę o zakład, że postawionych na wstępie tego tekstu pytań o dziwną umowę Komisji z Pfizerem, szybko nie usłyszymy.

A przecież ktoś musiał ją negocjować i podpisywać. Kontrakt jest ciągle tajny. Gdyby jednak Pfizer naruszał jego zapisy, Komisja ma wiele narzędzi prawnych, żeby wyegzekwować jego przestrzeganie. Wygląda więc na to, że żadnych naruszeń nie ma i firma po prostu robi to, na co Komisja się zgodziła.

Paliwo dla antyszczepionkowców

Skoro o groźnych skutkach ubocznych mowa, to ten nagły europejski front oporu przeciwko AstraZeneca też generuje skutki uboczne. I to bardzo poważne. Wątpliwości, co do tej konkretnej szczepionki uderzą w wiarygodność całego programu szczepień. A przecież w UE nie jest ona wcale wysoka. Nie tylko z powodu zaniedbań Komisji. To, że kraje takie jak Polska wyprzedzają stare unijne demokracje w tempie szczepienia obywateli nie bierze się przecież zni-

Zagranica

kąd. A już na pewno nie z przewagi naszej służby zdrowia czy sprawności organizacyjnej.

Główny powód jest taki, że Niemcy, Francuzi czy Hiszpanie nie garną się do szczepienia. Poziom nieufności społecznej wyznaczają powtarzające się raz po raz w głównych miastach zachodniej Europy demonstracje antyszczepionkowców i przeciwników pandemicznych ograniczeń, które zazwyczaj kończą się regularnymi walkami z policją.

Rozumiem chęć dmuchania na zimne w sprawie realnego zagrożenia.

*Krajami członkowskimi UE rządzą politycy, pochodzący z wyboru a nie mianowani – **NIE MAJĄ ONI KOMFORTU ZANIECHANIA**, jaki przysługuje członkom Komisji.*

Dlatego radzący we Francji, Niemczech czy Holandii nie mogą sobie pozwolić na bagatelizowanie rozdmuchanego medialnie problemu. Być może

Zagranica

czujność ta zapewni reelekcję prezydentowi Macronowi, w Holandii Mark Rutte znów obroni się przed populistą Geertem Wildersem a w Niemczech chadecy przetrwają jakoś polityczną emeryturę Angeli Merkel.

Z drugiej jednak strony te doraźne polityczne kalkulacje będą miały fatalny wpływ na zaufanie do szczepionek na Covid. Warto obserwować, ilu ludzi zasili teraz szeregi płaskoziemców i foliarzy i jak to wpłynie na walkę UE z pandemią. 

NIC SAMO NIE PRZEJDZIE

*Zdjęcia zamieszczone w tym tekście
zostały wykonane w szpitalu w Lu-
blinie w czasie trzeciej fali pandemii.*

*Wielu chorych nie chce wykonać testu na COVID. **MIMO ŻE ŹŁE SIĘ CZUJĄ, NADAL NEGUJĄ CIĘŻKOŚĆ TEJ CHOROBY**, albo leczą się sami, stosując duże dawki witamin. Często domagają się różnych leków, które mają internetową sławę. Za późno trafiają do szpitala, kiedy nie ma już szans na leczenie przeciwwirusowe. Kiedy trzeba wykonać test, kiedy dzwonić po pogotowie i jak sprawdza się program DOM – mówi **PROF. AGNIESZKA MASTALERZ-MIGAS**, konsultant krajowa w dziedzinie medycyny rodzinnej.*



Rozmawiała **Katarzyna Pinkosz**

Lekarze ze szpitali covidowych mówią, że większość pacjentów za późno trafia do szpitala, przez co nie można już im podać np. leczenia przeciwwirusowego, zbyt często trafiają pod respirator, umierają. Dlaczego za późno trafiają do szpitala?

Przyczyny są złożone. Pacjenci, którzy mają objawy mogące wskazywać na COVID, często w ogóle nie zgłaszają się do lekarza, a nawet jeśli się zgłoszą,



*Agnieszka
Mastalerz-Migas*

– dr hab. nauk med., profesor Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu, gdzie kieruje Katedrą i Zakładem Medycyny Rodzinnej. Od 2019 – prezes ZG Polskiego Towarzystwa medycyny Rodzinnej, konsultant krajowy w tej dziedzinie. Autorka wielu prac naukowych.

to uważają, że nie jest im potrzebne skierowanie na test w kierunku koronawirusa. Tak więc część osób w ogóle nie wykonuje testu. Jeśli test zostanie wykonany i jest pozytywny, większość pacjentów jest oczywiście leczona w domu. Niestety, wciąż wiele osób uważa, że COVID to generalnie łagodna choroba, a ciężki przebieg dotyczy tylko osób starszych, mocno schorowanych – to oczywiście w części prawda, te osoby są najbardziej zagrożone ciężkim przebiegiem, ale też widzimy coraz więcej ciężkich przebiegów u osób młodszych.

Część pacjentów bagatelizuje objawy. Inna grupa pacjentów ma świadomość, że czuje się nie najlepiej, jednak leczą się różnymi specyfikami o nieudowodnionej skuteczności, jak amantadyna, duże dawki witaminy C, D, cynku...

Już wiele razy to mówiono, ale powtórzmy raz jeszcze: kiedy wystarczy stosować leczenie objawowe, witaminę C, a kiedy już na te środki jest za późno?

Jeśli chodzi o witaminę C, to udowodniono, że nie działa w COVID. Podobnie cynk. Witamina D też

nie jest lekiem na COVID. Owszem, poprawia funkcjonowanie układu immunologicznego; powinien ją suplementować każdy, zwłaszcza zimą.

„*Jeśli ktoś jeszcze nie przyjmuje witaminy D, to powinien to robić – w okresie infekcyjnym można podawać nieco większą dawkę.* **PRZYJMOWANIE WYSOKICH DAWEK WITAMINY D NIE WYLECZY JEDNAK COVID.**

Kiedy więc jest moment, że nie można już leczyć się samemu, tylko trzeba dzwonić do lekarza?

Gdy zaczynają się niepokojące objawy ze strony układu oddechowego (trudności w oddychaniu, duszność) albo inne, które budzą niepokój, jak wysoka, trudna do obniżenia gorączka (powyżej 39 st), senność, zawroty głowy, nudności, nasilona biegunka.

Jeśli podejrzewamy, że mieliśmy kontakt z osobą zakażoną, przebywaliśmy w tłumie, gdzie



Fot. Wojtek Sztykowski / Forum

SPIS TREŚCI

NASTĘPNY ARTYKUŁ >

nie wszyscy byli zabezpieczeni maseczkami, to trzeba pomyśleć, że przyczyną złego samopoczucia może być COVID i zgłosić się do lekarza. Gdy lekarz zleci test, jego wynik trafi do przychodni i na Internetowe Konto Pacjenta. Lekarz powinien wówczas zadzwonić do pacjenta, poinformować go o wyniku testu, przeprowadzić rozmowę dotyczącą samopoczucia chorego. Zwykle do tego czasu mija 2-3 dni; po tym czasie na ogół widać, czy pacjent choruje łagodnie, czy jego stan się pogarsza.

Co na tym etapie powinno zaniepokoić?

Problemy z oddychaniem: pacjent czuje, że gorzej mu się oddycha, ma duszność. Warto sprawdzić saturację – powodem do niepokoju jest jej obniżenie. Jeśli wynik jest niższy niż 94, to jest to niepokojące i według wytycznych stanowi wskazanie do hospitalizacji. Istotna jest też gorączka – jest groźnym objawem, jeśli trwa od kilku dni, jest wysoka i trudno ją obniżyć lekami. Niepokojący jest też narastający kaszel, odwodnienie (pacjent

ma wymioty, biegunkę), zaburzenia świadomości, nasilone zawroty głowy, wymioty. Te objawy powinny zmuszać do kontaktu z lekarzem, który albo zaprosi na badanie do poradni, albo ustali wizytę domową, albo uzna, że konieczne jest wezwanie pogotowia i przewiezienie do szpitala.

Od początku grudnia 2020 r. działa system DOM (Domowej Opieki Medycznej), który miał spowodować, że chorzy na COVID będą monitorowani w domu. Czy to się udało?

Pacjenci powyżej 55. roku życia są włączani do programu DOM automatycznie, jeśli mają zdiagnozowany COVID – dostają do domu pulsoksymetr wraz z instrukcją postępowania. Ale do programu może zgłosić się każdy dorosły pacjent, niezależnie od wieku: wystarczy wypełnić kwestionariusz na stronie gov.pl Domowa Opieka Medyczna.

Również lekarze podstawowej opieki zdrowotnej oraz ratownicy medyczni mają możliwość zgłaszania pacjentów do tego programu. Jego atutem jest to, że to 24-godzinny monitoring: pacjent jest pro-

szony co kilka godzin o wykonanie pomiaru saturacji z pulsoksymetru, który dostaje w ramach programu (może też wykorzystać swój własny pulsoksymetr). Pacjent mierzy też częstość oddechu, temperaturę, zbierany jest też wywiad medyczny. Stworzono specjalny algorytm, który na podstawie danych od pacjenta generuje alarm, gdy następuje pogorszenie stanu zdrowia.

Wtedy konsultant z centrum obsługi (system bazuje na PZU Zdrowie), dzwoni do pacjenta, sprawdza, w jakim jest stanie i czy pomiar był wykonany prawidłowo. Jeśli stan pacjenta jest bardzo poważny, od razu wzywa pogotowie, jeśli nie, to w ciągu 2 godzin umawiana jest telekonsultacja z lekarzem. Lekarz decyduje, co dalej z pacjentem. Dzięki temu nadzorowi można szybciej wykryć pogorszenie stanu pacjenta.

Niestety zdarza się, że pacjent dobrze się czuje, ale ma niski poziom saturacji, co świadczy o niedotlenieniu, a zatem rozwijającym się prawdopodobnie zapaleniu płuc i konieczna jest hospitalizacja.



Pacjenci chętnie korzystają z programu DOM?

W większości tak, choć nie wszyscy. Niektórzy nawet nie włączają pulsoksymetrów albo nie wysyłają danych. Jednak coraz więcej pacjentów podchodzi świadomie, zależy im na tym, by być monitorowanym.

Dzięki temu pacjent może dostać w porę odpowiednie leczenie i po prostu przeżyć...

*Program po to został stworzony,
by szybciej zauważyć pogorszenie stanu
pacjenta i **ZAPEWNIĆ MU ADEKWATNE
LECZENIE.***

Pacjenci starają się jednak zrobić wszystko, by nie znaleźć się w szpitalu. Co trzeba zmienić, żeby tak bardzo się tego nie obawiali?

Trudno na to pytanie odpowiedzieć. Wszyscy obawiamy się, że zabraknie miejsc w szpitalach, widzimy w mediach nagrania, gdy karetki stoją godzinami pod szpitalami, nie ma w nich odwiedzin, ludzie umierają w samotności.

Wszystko to jest niestety prawdą, żyjemy w bardzo trudnych czasach. Należy jednak pamiętać, że do szpitala trafia się nie po to, żeby umrzeć, tylko żeby przeżyć. Tu ratuje się ludzi. Po to, żeby podejście zmienić, konieczna jest praca na każdym etapie: lekarzy POZ, zespołu ratownictwa medycznego, lekarzy w szpitalach, którzy dziś apelują do pacjentów, żeby zgłaszali się wcześniej.

Oczywiście, żeby przekaz był spójny, muszą być w szpitalach miejsca i stąd decyzje o wcześniejszym uruchamianiu szpitali tymczasowych. Jednak łóżka to nie wszystko, konieczny jest też personel, którego brakuje. Sytuacja jest bardzo trudna. Jednak dopóki system jest wydolny – a na dziś jeszcze jest wydolny – to warto zachęcać chorych, by nie rezygnowali z hospitalizacji, gdy czują, że ich stan się pogarsza. Warto, żeby pacjenci nie leczyli się sami i nie liczyli, że wszystko „samo przejdzie”

Czy z Pani doświadczeń lekarza rodzinnego łatwo jest dziś przekonać pacjenta, że to już jest ten moment, że trzeba jechać do szpitala?

Bywa różnie. Łatwiej przekonać starszą osobę, choć z drugiej strony osoby w wieku podeszłym często chcą zostać w domu. To trudna sytuacja, ciężko z tym się pogodzić, trzeba uszanować decyzję pacjenta, ale jednocześnie zrobić wszystko, aby przekonać go do leczenia.

Jeśli chodzi o młodszych pacjentów, to bywają wśród nich tacy, którzy potrafią rozłączyć się w pół słowa albo nie odbierać telefonu. Część osób nawet mimo diagnozy i złego samopoczucia nadal neguje tę chorobę, żąda wypisania antybiotyku, amantadyny. Za wszelką cenę szukają innego wyjścia niż leczenie w szpitalu. Są jednak też osoby, które rozumieją, jak ciężka może być ta choroba, jakie konsekwencje mogą pojawić się, jeśli pozostaną w domu i nie zdecydują się na hospitalizację.

Wierzą, że proste środki mogą im pomóc...

Często domagają się różnych leków, które mają internetową sławę, leczenia, które nie do końca jest zgodne z rekomendacjami medycznymi. Cza-

sem antybiotyki są potrzebne, gdy doszło do nadkażenia bakteryjnego. Nie są to jednak „leki na COVID”, tylko na powikłania bakteryjne. Leku na COVID w opiece ambulatoryjnej jak na razie nie mamy. 

ELEKTRYCZNE GITARY I ŻYCIE W PANDEMII

Fot. Robert Kowalewski / Agencja Gazeta

Proszę mi życzyć, żeby druga dawka szczepionki mnie tak nie powaliła jak pierwsza. To były trzy dni wyjęte z życia – mówi w rozmowie z „Wprost” **KUBA SIENKIEWICZ, DZIŚ BARDZIEJ NEUROLOG NIŻ ARTYSTA, ALE WCIĄŻ LIDER „ELEKTRYCZNYCH GITAR”**. *On sam przyjął już pierwszą dawkę szczepionki AstraZeneca. Pytany o to, czy jest za zaprzestaniem wykorzystywania tej szczepionki w związku z pojawiającymi się powikłaniami, mówi: – Wiadomo, w czasie epidemii wszyscy jesteśmy zakaźnikami. Ale jeśli mam odpowiedzieć tak całkiem poważnie, to zawsze będę stał na stanowisku, by słuchać specjalistów w danej dziedzinie.*



Rozmawiała **Paulina Socha-Jakubowska**

Zczyją perspektywą dzisiaj się panu ciężiej żyje, lekarza czy muzyka, artysty?

Obie są dobre. Dzięki pandemii rozwinąłem praktykę lekarską, przyjmuję już w czterech gabinetach - na NFZ i prywatnie. Z kolei, jako wykonawca estradowy, ograniczyłem swoją działalność do niezbędnego minimum, do tego, co naprawdę lubię i co powinienem robić - do piosenki z gitarą. Z zawodowego punktu widzenia wszystko jest na swoim miejscu.

Dziś rzadko można usłyszeć takie stwierdzenie.

Epidemia była dla mnie pretekstem, by sobie poukładać życie. Oczywiście nie jestem piewcą zarazy. To tylko zbieg okoliczności.

Wcześniej myślał pan w ogóle o tym, by życiowe akcenty inaczej porozkładać, żeby praktyki lekarskiej w pańskim życiu było więcej?

Wcześniej żyłem na zasadzie: „co życie przyniesie”, rządził przypadek, funkcjonowałem od terminu do terminu w kalendarzu, z nieprzyjemnym uczuciem, że nic ode mnie nie zależy. Teraz sam kontrolu-

ję swoją pracę, to dla mnie duża zmiana na korzyść. A dzięki temu, że nie jeżdżę w trasy, mogłem zacząć więcej pracować jako lekarz, co zaowocowało nowymi ciekawymi miejscami, w których przyjmuję pacjentów. Mam też więcej czasu na domowe nagrywanie, pisanie nowych piosenek i odpoczynek.

Jak COVID wpłynął na pana pacjentów? Bardzo dużo mówi się o neurologicznych powikłaniach...



Kuba Sienkiewicz

– wokalista, gitarzysta, autor tekstów, lider zespołu Elektryczne Gitary, z wykształcenia lekarz neurolog, posiadający stopień doktora nauk medycznych.

Wśród moich pacjentów przeważają osoby z chorobą Parkinsona i podobnymi schorzeniami neurodegeneracyjnymi – to zaburzenia ruchowe i otępienie. Wielu z nich po przebytych COVID-19 długo nie dochodzi do siebie. Nie odzyskują formy sprzed infekcji. Składa się na to osłabienie ogólne, bo infekcja ma przebieg wielonarządowy, przerwa w rehabilitacji i aktywności ruchowej, przewlekły stres powodujący reakcję depresyjną. Wiemy, że wirus SARS-CoV-2 atakuje układ nerwowy, stąd m.in. objawy węchowe, ale ciężkie zapalenie mózgu czy zapalenie wielonerwowe są dość rzadkie. Z historii znamy tzw. parkinsonizm pośpiączkowy, który dotykał chorych po przebytych śpiączkowym zapaleniu mózgu wywołanym wirusem Economo w latach 20. XX wieku. Był o tym dobry film „Przebudzenie” z Robinem Williamsem w roli profesora Sachsa i Robertem de Niro w roli pacjenta. Film opowiadał o tym, jak po raz pierwszy podano takim chorym lewodopę.

A w jakiej kondycji są pańscy koledzy, lekarze?

„Im dłużej trwa przerwa, tym czuję większy spadek sprawności wykonawczej. Mam ochotę już **TYLKO KONSUMOWAĆ SZTUKĘ.** Jest tyle dobrej muzyki...

Panuje duże rozdrażnienie. Lekarze pracują w nietypowej sytuacji, ograniczane są procedury planowe, co już powoduje frustracje, bo wiemy, jakie są skutki opóźniania takich procedur. Zmieniają się obostrzenia, zasady pracy w oddziałach, izbach przyjęć. To nie sprzyja dobrej rutynie, zaczyna brakować wypracowanych ścieżek. Mnie, jako neurologa, boleśnie denerwuje wciąż zdarzająca się sytuacja, kiedy chory przywieziony przez pogotowie pod hasłem „udar mózgu” czeka godzinami w SOR na przyjęcie do odpowiedniego oddziału i leczenie, jakby cała dotychczasowa promocja tzw. szybkiej ścieżki dla udaru nie istniała. Nadal coś jest nie tak z organizacją pracy, a pandemia pogorszyła wydolność służby zdrowia.

Zna pan lekarza, który dziś chciałby zastąpić ministra zdrowia?

Minister Adam Niedzielski nie jest lekarzem tylko ekonomistą, to lepiej rokuje, ale jeden człowiek szybko nie naprawi całego zaniedbanego systemu. Nie liczymy na to. Póki co każdy z nas, pracowników służ-

by zdrowia, musi na swoim odcinku działać tak, „jak przeciwnik pozwala”.

Największą **PORAŻKĄ JEST ZLECENIE ZAPRZESTANIA WYKONYWANIA PROCEDUR PLANOWANYCH** w sytuacji, kiedy tyle wysiłku organizacyjnego i finansowego włożono w szpitale jednoimienne i tymczasowe.

Przecież to wszystko było po to, by pacjenci z COVID-19 jak i ci, którzy na to nie chorują, mieli normalną diagnostykę i leczenie. Okazuje się, że to jednak było po nic.

Czeka nas zapaść?

Prostym przykładem jest choroba wrzodowa żołądka i dwunastnicy. Jeśli nie będzie planowej diagnostyki, to za kilka lub kilkanaście miesięcy będziemy mieli wysyp krwotoków z przewodu pokarmowego. W neurologii nawet pacjenci z nieuchronnie postępującymi schorzeniami, o złym rokowaniu,

dużo lepiej funkcjonują jeśli są pod regularną opieką specjalisty. Niedoleczeni pacjenci z padaczką za jakiś czas zatkają SOR-y. Każdy specjalista mógłby podawać swoje przykłady. Bardzo ucierpiała rehabilitacja. Najpierw pacjenci bali się chodzić na rehabilitację, potem rehabilitanci ograniczyli wizyty u pacjentów, zamykano też poradnie. W wielu schorzeniach neurologicznych rehabilitacja jest wyjątkowo istotna – same tabletki nie wystarczą. Trudno więc powiedzieć, czy będzie zapaść, ale wiele grup pacjentów czeka obniżenie jakości życia, a wskaźniki umieralności będą się pogarszały.

To teraz poproszę pana o diagnozę dotyczącą świata kultury. Czy widać w nim mobilizację, chęć pomagania artystom, którzy przez pandemię wpadli w potężne finansowe kłopoty?

Na poziomie koleżeńskim jest nieźle. Twórcy wymieniają się informacjami, jak można zdobyć pomoc. Czy to przez organizacje zbiorowego zarządzania, czy korzystanie z tarcz przewidzianych ustawowo. Zapraszamy się wzajemnie do wspólnego

udziału w różnych projektach artystycznych i występach, żeby zwyczajnie zarobić.

”*Szczególnie trudnymi przypadkami wśród artystów estradowych zajmuje się Polska Fundacja Muzyczna, która*
**SPECJALIZUJE SIĘ W PRECYZYJNIE
CELOWANEJ POMOCY.**

Pan tę fundację współtworzy.

Należę do rady tej fundacji.

Ilu osobom pomagacie?

To zwykle jest około 20 osób rocznie w wyjątkowo trudnej sytuacji zdrowotnej lub życiowej, ale żeby było jasne – to bez związku z pandemią. Niektóre kwoty pozwalają na przykład pokryć koszty wielomiesięcznej rehabilitacji.

A kiedy już pandemia się skończy, ten procentowy podział między medycyną, a życiem artystycznym u pana wróci do normy sprzed 2020 roku? Czy panu jest tak dobrze?

Jest mi dobrze, już nie wrócę na dużą estradę, nie mam formy i nie chcę jej przywracać. Spodobało mi się na tej narodowej kwarantannie.

Jak to?

Im dłużej trwa ta przerwa, tym czuję większy spadek sprawności wykonawczej. Mam ochotę być bardziej „tworzywem niż twórcą” i już tylko konsumować sztukę. Jest tyle dobrej muzyki do posłuchania, coraz więcej, trzeba korzystać.

To ogłosicie koniec „Elektrycznych gitar”, pojedziecie w pożegnalną trasę?

Po pierwsze „Elektryczne Gitary” są wiecznie żywe i nie mają końca, a po drugie nie mogę wyjść na estradę jednocześnie mówiąc, że nie jestem w formie.

Wielu zespołom, czy artystom to nie przeszkadzało. Mówili, że kończą, a po roku jechali w trasę „pożegnalną”. Po dwóch - w kolejną.

Nieprawda. Brak formy załatwił wielu wykonawców, już nie mówiąc o wizerunku. Artysta odmrożony to nie jest przyjemny widok. Czasami się artystów odgrzewa albo odgrzebuje i wtedy to jest „come



Po pierwsze *Elektryczne Gitary* są
wiecznie żywe i **NIE MAJĄ KOŃCA**, a po
drugie nie mogę wyjść na estradę, kie-
dy mówię, że nie jestem w formie.

back”. Tak czy siak, żeby była trasa, ktoś musi tych koncertów chcieć. A ja nie mam takich sygnałów.

Naprawdę nie ma chętnych?

Nie widzę lasu rąk, ludzi ustawiających się w kolejkach po moje występy.

Za to pańskie dzieci, Katarzyna i Jacek, z tym „lasem rąk” mają do czynienia. Jak pan odbiera boom na „Kwiat Jabłoni”?

Mają swój czas, należą do tych wykonawców, za którymi widownia dziś, z powodu wymuszonej przerwy, tęskni.

Chodzi pan na ich koncerty? Tzn. chodził?

Chodziłem, a dziś śledzę ich działalność w internecie, bo tam z muzyką się przenieśli. Mieli sporo czasu na nagranie płyty, która zresztą niedawno się ukazała („Mogło być nic” – red.). Właśnie ją promują i są pełni nadziei, że wiosną pojedą w trasę. Życzę sukcesów oczywiście (śmiech).

A jak cała pandemia wpłynęła na państwa rodzinę. Dla wielu oznacza miesiące rozłąki, choćby w trosce o seniorów.

U nas wszyscy seniorzy powymierali już dawno. A my się normalnie spotykamy.

Czyli nie uważa się pan jeszcze za seniora?

Jestem młodym seniorem. Wie pani, kiedyś wykonywałem recitale na juwenaliach. Pewnego roku zaproszono mnie jednak na senioralia i wtedy ta granica zarysowała się ostro. Tego roku, gdy zagrałem na senioraliach, organizatorzy juwenaliów przestali dzwonić.

Wracając do kultury w sieci, bo tam wielu artystów dziś się odnajduje. Taka namiastka panu wystarcza, czy wolałby pan móc chodzić na koncerty?

„TĘSKNIĘ ZA MUZYKĄ NA ŻYWO. Mam kilka biletów na wiosenne koncerty, nie wiem, czy się odbędą, bo dziś to loteria zależna od wskaźników epidemiologicznych.

Choć uważam, że estradę można by trochę łaskawiej potraktować, jest wiele obiektów dostosowa-

nych do tego, by zachowywać dystans, by móc grać dla 50 proc. widowni. Chciałbym, by nawet przy obostrzeniach nie likwidować tego obszaru kultury całkowicie. Skoro mam okazję, to oddaję głos za tym, by pozwolić działać muzykom. To ważne i dla naszej psychiki, i gospodarki.

Chciałabym zapytać o jeszcze jedną chorobę toczącą Polskę, a raczej polską kulturę. Jak pan się odnajduje w sytuacji podziału na artystów, którzy bywają w TVP i tych, którzy bojkotują telewizję publiczną?

To trudny temat. Wielu artystów rzeczywiście traktuje tę sprawę ostro, nie chodzą do TVP.

Pańskie dzieci nie wzięły udziału w festiwalu w Opolu właśnie z tego powodu.

Tak, moje dzieci też nie chodzą. Ta sytuacja mnie martwi dlatego, że media publiczne powinny być dobrem całego społeczeństwa, źle się stało, że zostały zawłaszczzone i przypisane partii rządzącej. To wielka strata. Ale trzeba również pamiętać o tym, że nie należy traktować mediów publicznych jako totalnego

wroga, bo gdy sytuacja polityczna w kraju się zmieni, trzeba będzie do tych mediów wrócić.

Są niezbędne?

Powinniśmy umieć wykorzystywać je dla dobra polskiej kultury.

Sam **NIE WIEM, CZY MAM DOBRĄ
RECEPTĘ NA CAŁĄ TĘ SYTUACJĘ.**

Na pewno rozumiem polityków, którzy nie bywają w niektórych stacjach, rozumiem też dziennikarzy, którzy nie korzystają z zaproszeń.

A gdyby pana zaproszono do TVP, jako muzyka?

Odmówiłbym dużym stacjom. Nie chciałbym się pokazywać ani w TVP Info, ani w Jedynce, ani Dwójce. Ale muszę przyznać się, że dwa lata temu dałem się zaprosić do TVP3, w celu wykonania z gitarą nowych piosenek. TVP Historia również nadaje cykl audycji, w których wykorzystano moje utwory o tematyce historycznej. Oglądalność tych progra-

mów jest niewielka, może dlatego się zdecydowałem. Mam dużo piosenek o historii i chciałem je promować, bo nie są laurkami tylko prezentują spojrzenie krytyczne. Teraz oczywiście żałuję, bo moje komentarze zostały poprzycinane.

Jako lekarz też by pan nie poszedł?

Też.

Na koniec rozmowy wypada życzyć zdrowia.

Proszę mi życzyć, żeby druga dawka szczepionki mnie tak nie powaliła jak pierwsza. To były trzy dni wyjęte z życia.

Która to szczepionka?

AstraZeneca. Ale to tylko zbieg okoliczności.

To co sądzi pan na temat wycofywania tej szczepionki? Coraz więcej krajów się na to decyduje.

Uważam, że należy trzymać się ustaleń WHO i specjalistów. Jeśli jest decyzja, że w Polsce szczepionki się nie wycofuje, to tego się trzymajmy. Nie ma sensu uprawiać dodatkowej propagandy.

Ale już trwa narodowa dyskusja o tym preparacie, znam nauczycieli, którzy odmawiali szczepienia

Astrą, bo się boją. Paranoja zaczyna opanowywać społeczeństwo.

Wiadomo, w czasie epidemii wszyscy jesteśmy zakaźnikami. Ale jeśli mam odpowiedzieć tak całkiem poważnie, to zawsze będę stał na stanowisku, by słuchać specjalistów w danej dziedzinie. 

REKA BOGA

*Oto ten moment
- „ręka Boga” to ta
wystawiona najwyżej.*

FOI EAST NEWS

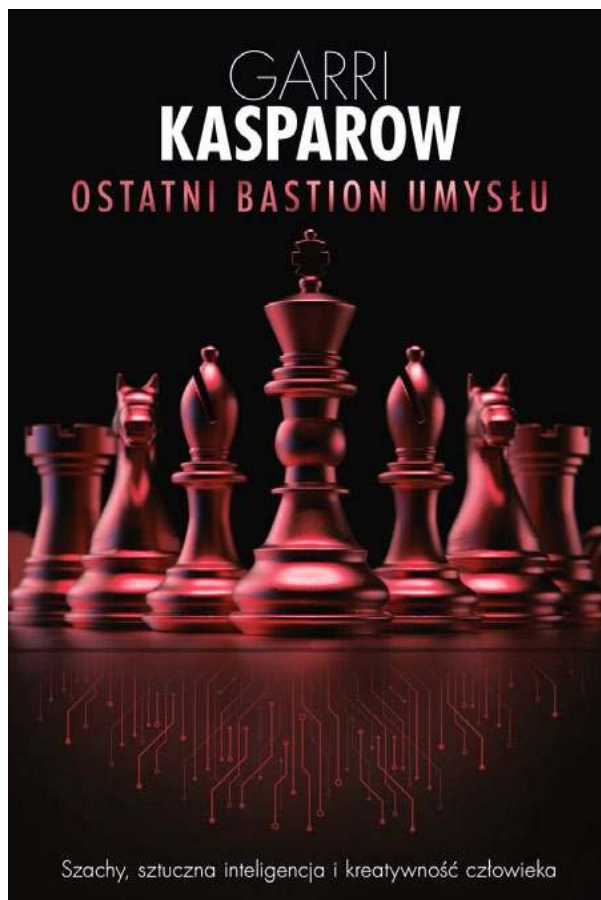
*W meczu z Anglią na mistrzostwach świata w piłce nożnej w 1986 roku Diego Maradona wyskoczył do piłki i ręką wbił ją do bramki. Zrobił to tak sprytnie, że sędziowie niczego nie zauważyli (nie było jeszcze wtedy VAR-u) i ostatecznie Argentyńczycy wygrali awansując do półfinału. To, co się stało widzieli piłkarze, widzieli dziennikarze i część publiczności. Sam **MARADONA, WTEDY UCHODZĄCY ZA FUTBOLOWEGO BOGA, STWIERDZIŁ NA KONFERENCJI PRASOWEJ, ŻE TO NIE ON, ŻE TO „RĘKA BOGA”**. Od tego czasu używa się tego określenia – raczej ironicznie i najczęściej w sporcie – do opisu niezwykle, „nieludzkiej” interwencji w jakieś zdarzenie, zwłaszcza wtedy, gdy wiadomo że jego sprawca idzie w zaparte.*



Tekst: **Leszek Bugajski**

Garri Kasparow „Ostatni bastion umysłu”

Insignis Media



Zaskakujące, ale tego samego sformułowania – choć sarkastycznie – użył Garri Kasparow swojej nowej książce traktującej niby tylko o szachach, a w rzeczywistości o tym, w jakim stopniu sztuczna inteligencja może zastąpić ludzką. Kasparow to przecież kompletne przeciwieństwo Maradony – wielki arcymistrz szachowy, długoletni mistrz świata w tej dyscyplinie, intelektualista, który teraz na jednym

z amerykańskich uniwersytetów bada współpracę człowiek-maszyna. W 1997 roku rozegrał słynny na cały świat mecz szachowy z super mocnym (jak na tamte czasy) komputerem Deep Blue firmy IBM. Był to rewanż, jaki umożliwił inżynierom z IBM za mecz, który rozegrał z ich komputerem rok wcześniej i który wygrał. Dla wielkiej firmy wiodącej w branży była to dotkliwa porażka prestiżowa więc nic dziwnego, że

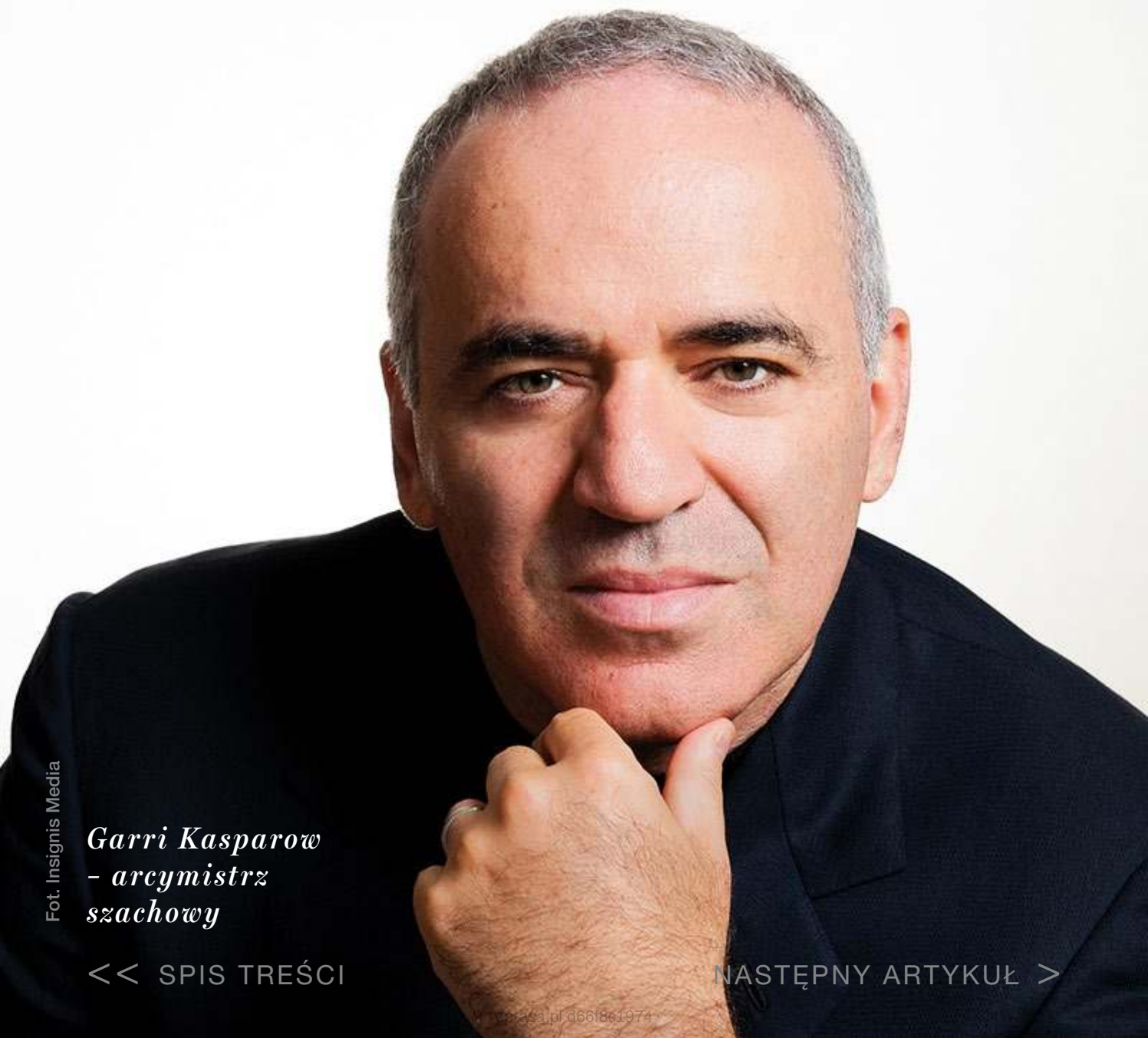
przez czternaście miesięcy nad udoskonaleniem maszyny **PRACOWAŁ ZESPÓŁ INŻYNIERÓW**, z którym współpracowało kilku wybitnych szachistów.

Takie było tło tego starcia człowieka z maszyną. Kasparow opisuje je w bardzo interesujący sposób – zero nudy, jakiej moglibyśmy się spodziewać. Nawet ktoś mający tylko bardzo elementarne pojęcie o zasadach szachowej rozgrywki wszystko ma podane jak na

tacy, co jest zwłaszcza ważne, gdy dochodzimy do opisu samej gry. To jest opowieść o „krwawej” walce dwóch umysłów – ludzkiego i stworzonego przez ludzi. Ludzki jest otwarty na świat, zdolny do kojarzenia faktów w niekonwencjonalny sposób, sztuczny może się poruszać – przynajmniej na razie – w obrębie wiedzy zapisanej w jego pamięci. To jeszcze nie był czas, gdy sztuczna inteligencja mogła sama się uczyć itd. Mogła za to w ciągu sekundy przeanalizować 200 milionów sytuacji. Czy człowiek miał szansę wygrać z taką obliczeniową siłą? Miał, bo maszyna nie ma marzeń – jak pisze Kasparow: „ona ma instrukcje, my – cel”. Więc Karpow po wygranym poprzednim meczu podszedł do następnego raczej wyluzowany i przez pięć partii toczył równorzędną walkę, mimo kilku błędów, ale też Deep Blue zrobił kilka głupich ruchów. A jednak przegrał szóstą, decydującą przy stanie 2,5 do 2,5 partię, bo maszyna się nie męczy, nie rozprasza się, nie frustruje, nie ma wahania nastroju.

Czy to znaczy, że maszyna jest lepsza od człowieka? Nie, Kasparow opisuje dlaczego tak jest (na

Po przegranym meczu szachowym z komputerem Kasparow uważa, że miał szansę wygrać, bo maszyna ma tylko instrukcje, a **CZŁOWIEK MA CEL.**



Fot. Insignis Media

Garri Kasparow
- arcymistrz
szachowy

<< SPIS TREŚCI

NASTĘPNY ARTYKUŁ >

razie!), ale też rozżalony po przegranej, która ugodziła jego ambicję, wyciąga dużo interesujących spraw zza kulis meczu, przyznając się przede wszystkim do naiwności – on podszedł do meczu jako do wyzwania intelektualnego i sportowego, dlatego zgodził się na to, by IBM, które skonstruowało jego przeciwnika było także organizatorem meczu. A dla IBM była to sprawa prestiżowa – wygrana była wielkim zdarzeniem promocyjnym dla firmy i podobno wygenerowała gigantyczną kupę pieniędzy z wzrostu sprzedaży jej produktów. Sugeruje więc Kasparow, że nie wszystko z tym meczem było w porządku: na przykład narzeka, że nie dostał zapisów partii, jakie Deep Blue rozegrał przed ich spotkaniem, nie mógł więc przeanalizować jego sposobu gry, że przy zespole IBM kręciła się grupka arcymistrzów, których podejrzewał o pomoc już w trakcie trwania meczu, nie udostępniono mu też zapisów, o które prosił w trakcie meczu itd. A na koniec, po wygranym meczu komputer ukryto i podobno nie zagrał już ani jednej

partii. Dlaczego? Co mieli do ukrycia? – pyta szachista. I przy okazji jednego z dziwnych zdarzeń w czasie meczu sarkastycznie mówi o „ręce Boga”

„*Szachy, opowiadane przez Kasparowa*
TO WIELKA WOJNA, pełna podchodów,
napięcia, zmęczenia, momentów
zwątpienia, załamania i wzlotów.

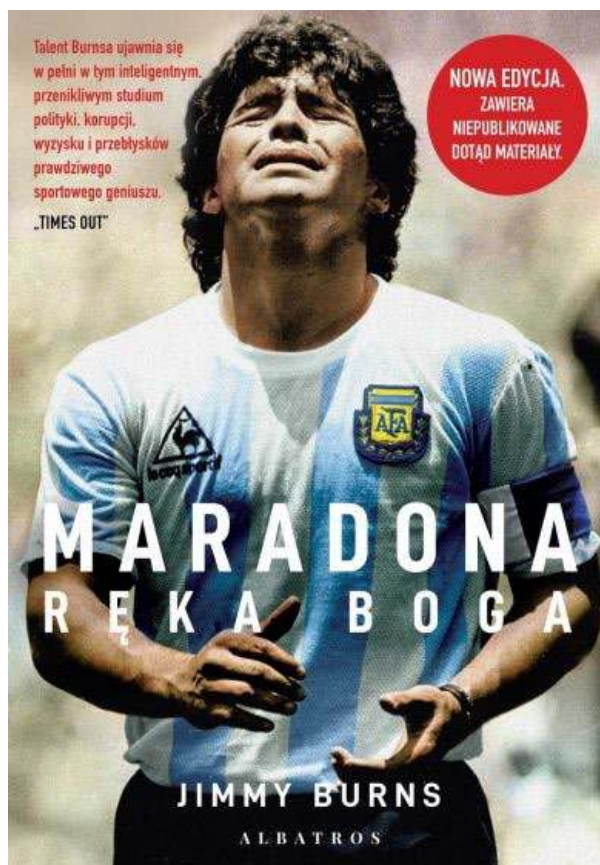
I oczywiście, jak to zwykle się dzieje w trakcie prawdziwej wojny, otoczona grami szpiegów, dywersją i „partyzantką”. Oczywiście cała historia tego meczu nie miała znaczenia sportowego i dla Kasparowa była swego rodzaju eksperymentem, który później rozwinął „przestawiając” maszynę z pozycji przeciwnika na pozycję pomocnika. Organizował eksperymentalne turnieje szachowe, w których każdy uczestnik mógł korzystać z komputera z dowolnie wybranym przez siebie programem szachowym. I to wzbudzało jego ekscytację i sprowokowało go właśnie do ciekawych rozważań

o tym, jak ta symbioza może się rozwijać w przyszłości – nie w szachach, bo one to przecież tylko forma zabawy, ale w prawdziwym życiu. A kończy stwierdzeniem, że „będziemy potrzebowali inteligentnych maszyn, by urzeczywistnić nasze najwspanialsze marzenia. Jeśli przestaniemy je mieć, jeśli przestajemy szukać wyższych celów, wtedy sami stajemy się maszynami”.

Jimmy Burns

**„Maradona.
Ręka Boga”**

Wydawnictwo Albatros



Diego Maradona to zupełnie ktoś inny niż arcymistrz szachowy i pracownik naukowy Oxford Martin School. Więc i książka o nim musi się diametralnie różnić, od wyrafinowanych rozważań Kasparowa – to baśń, choć prawdziwa, o niezwykłym wzlocie biednego prostaczka na szczyt i o upadku. Maradona urodził się w nędznym przedmieściu Buenos Aires w chałupce bez elektryczności i bieżącej wody.

JEDYNĄ JEGO ZABAWKĄ BYŁA PIŁKA,
*którą dostał w prezencie od wujka
i którą – jak tylko zaczął chodzić
– zabawiał się bez przerwy.*

Kiedy miał osiem lat był już dość znanym w swoim środowisku wirtuozem kopania piłki, więc trafił do jednej drużyny, później do drugiej i rozpoczął wędrówkę w górę piłkarskiej hierarchii.

Zaczął odnosić sukcesy, więc wyłowiła go słynna Barcelona, choć wtedy jeszcze nie tak wielka, jak ostatnio. Tam Maradona grał z reguły świetnie, ale też

– podobno, bo oficjalnie tego nie wykryto – zasmakował w kokainie i innych tego typu atrakcjach, spodobało mu się wesołe życie bogatego młodzieńca. Coraz trudniej było mu pomieścić się w ramach klubowej dyscypliny, ale był dobry i w klubie i w reprezentacji Argentyny, więc wszystko szło raz świetnie, raz jako tako. Kiedy jednak klub dowiedział się o jego skłonności do używek, unikając spodziewanych kłopotów, chętnie sprzedał swoją gwiazdę do Napoli. I tam Maradona rozkwitł – drużyna, która przed jego przybyciem była ligowym średniakiem, dwa razy wygrała włoską ligę, a mieszkańcy Neapolu zakochali się w piłkarzu, który był królem miasta. Przy okazji zaprzyjaźnił się z szefami miejscowej mafii, co pozwalało mu na robienie tego, co tylko zechciał – pijatyki, całonocne balangi, dziewczyny z wszystkimi tego konsekwencjami. Prostý chłopak z wielką kasą i wielką biedą za plecami opisywany jako geniusz piłki, kochany przez wszystkich, których spotykał, otoczony dworem pochlebców poczuł się jak bóg, który wszystko może i jest bezkarny. I za boga uważali go Argentyńczycy. To

w tym okresie tłumaczył bramkę zdobytą ręką jako strzeloną „ręką Boga”. Przewróciło mu się w głowie, ale nikt nie reagował, bo ci, którzy powinni i by mogli byli głęboko finansowo od niego uzależnieni, camorra mu schlebiała, ale też na nim zarabiała, a on stopniowo się pogrążał, choć przez lata bezkarnie. Ale przyszedł 1994 rok i na mistrzostwach świata w czasie rutynowej kontroli antydopingowej w próbkach jego moczu wykryto całą listę zabronionych substancji. Zawieszenie w prawach zawodnika i w konsekwencji

„*szjazd po pochylni nabrał tempa.*
*Efekt: jego **DRAMAT OSOBISTY, DRAMAT DLA RODZINY**, klęska wizerunkowa, rozpacz rodaków wierzących w boskiego geniusza piłki kopanej.*

Właściwie to była to sprawa ogólnoświatowa, w czasie jej rozgrywania Maradona nie zachowywał się mądrze i nie wierzył w możliwość upadku – mawiał wtedy o sobie w trzeciej osobie: „Diego Mara-

dona wstąpi do nieba dopiero wtedy, gdy będą tam na niego czekali wszyscy czterej Beatlesi”. Dość to było paskudne bo warto sobie uświadomoć, że wtedy trzech Beatlesi jeszcze żyli. Nic dziwnego, że brytyjski dziennikarz opisywał go jako faceta, który „nie tylko cierpi na manię wielkości, ale też postradał zmysły”. Wielu dotąd uważa go za najwybitniejszego piłkarza XX wieku, ale po załamaniu się kariery stał się postacią groteskową, jeszcze rodacy powierzyli mu swoją reprezentację narodową, ale szybko okazało się, że nie daje rady temu wyzwaniu i skończyło się blamażem. Spuśćmy zasłonę milczenia nad dalszym ciągiem – zmarł kilka miesięcy temu i pamiętajmy to, czego dokonał na boisku. A jego życiowe perypetie pokazały, że sport to nie tylko boiskowa wirtuozeria, ale też zdrowy rozsądek. Tyle, że „ręka Boga” mu nie pomogła. Niestety. 

**Michał Witkowski**

Wieje na Golgocie

Ponieważ kręciłem film na mój kanał na YT w Licheniu, co wymagało dwóch wizyt w tym przedziwnym miejscu, śpieszę z relacją dla Was. Może winna była pogoda, może korona, może jeszcze co innego, ale przy każdej z naszych wizyt cały kompleks sanktuarium był kompletnie wyludniony, mimo że raz byliśmy tam w niedzielę.

Fot. Beata Jarzębska

Podczas całej wizyty nie zobaczyliśmy ani księdza, ani zakonnicy, ani wiernego pielgrzyma, a jedyne dwie żywe osoby to był ochroniarz i kobieta sprzedająca pamiątki, która poinformowała nas, gdzie znajduje się toaleta. Dwie osoby. Świątynia zbudowana tak gigantycznym nakładem finansowym i ociekająca złotem – pusta. Dom pielgrzyma Arka – pusty. Olbrzymi teren sanktuarium – pusty, przy źródelku z cudowną wodą – pusto. Zrozumiałem, jak bardzo na uboczu znajduje się ten najdroższy chyba w Polsce kompleks budowlany. Jeśli pielgrzymi specjalnie do niego nie przyjadą, to kto ma chodzić tam na mszę? Mieszkańcy maleńkiej wioski Licheń? Przecież cała ta budowla stoi właściwie na polu, w samym środku niczego. Samo ogrzanie budynku o tak wielkiej kubaturze musi kosztować olbrzymie pieniądze. Tymczasem z tego ciepła korzysta wyłącznie ochroniarz, który ma za zadanie pilnować, aby ludzie nie przekraczali szkarłatnego sznura oddzielającego ołtarz od nawy głównej.

Na każdej stacji benzynowej, na której się zatrzymywaliśmy, życie wrzało, kręciło się około stu osób,

ale po przekroczeniu bramy sanktuarium mieliśmy dokładną symulację świata po apokalipsie. Wszyscy znikli. Świat bez ludzi, ale i bez Boga. Bo jako osoba trochę jednak wierząca jestem pewien, że ociekający złotem Licheń jest ostatnim miejscem, w którym nasz Pan chciałby przebywać.

*Cały ten kompleks **JEST ESTETYCZNIE BARDZO ARABSKI**, tak buduje się w Dubaju czy Kuwejcie nowe meczety, a ostra jak nóż wieża jeszcze utwierdza nas w tym porównaniu. Dlaczego katolicki Bóg miałby polubić coś tak nieskończenie arabskiego?*

Zawsze miałem problemy z kościelnym „nowym budownictwem”, a żyję na co dzień w sąsiedztwie świątyni Opatrzności Bożej, zwanej też „wyciskarką cytryn”. Dlaczego tak łatwo wyczuć obecność naszego Pana w kameralnym, cichym, pachnącym wiekami średniowiecznym kościółku, a tak trudno w tych

gigantycznych halach przypominających raczej wielkie medialne studia z telebimami? Ikona Matki Boskiej Licheńskiej umieszczona jest jakoś tak na wysokości ósmego piętra i nawet nie da się jej z tej odległości dokładnie zobaczyć. Nad nią, na wysokości piętra dziesiątego żółtym światłem neon groźnie informuje nas „JESTEM, KTÓRY JESTEM”. Wszystko tu jest groźne, wszystko służy ekspozycji siły, potęgi, bogactwa. Jest to tak bardzo odległe od pierwotnego chrześcijaństwa. Wspięliśmy się na Golgotę, ozdobioną naiwnymi i w sumie przerażającymi rzeźbami. Z góry widzieliśmy cały kompleks, pusty. Wicher wiał ponuro. Nie było Boga, nie było ludzi, nie było zwierząt, nie było nic. 

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Michał Witkowski

Jest nominowanym do wielu prestiżowych nagród pisarzem i aktorem. Jego powieści ukazały się w tłumaczeniu na 30 języków.

Iskra w oku



KOLEJNE WYDANIE CYFROWEGO „WPROST” UKAŻE SIĘ W **PIĄTEK O GODZ. 15.**
SZUKAJ NA **WPROST.PL** ORAZ WE WSZYSTKICH **E-KIOSKACH** ORAZ APLIKACJACH
MOBILNYCH **APP STORE** I **GOOGLE PLAY**

wprost.

REDAKTOR NACZELNY: *Robert Feluś*

REDAKTOR PROWADZĄCY: *Szymon Krawiec*

SEKRETARZ REDAKCJI: *Leszek Bugajski*

REDAKTOR: *Paulina Socha-Jakubowska*

ZESPÓŁ: *Marcin Dobski,*

Dariusz Grzędziński, Joanna Miziołek,

Agnieszka Niesłuchowska, Katarzyna Pinkosz

STUDIO „WPROST”: *Karol Kinal (kierownik),*

Anna Abratańska, Jakub Wiewiorowski

WYDAWCA: *Agencja Wydawniczo-Reklamowa „Wprost” Sp. z o.o.*

ZARZĄD: *Andrzej Chmiel (prezes)*

DYREKTOR WYDAWNICZY: *Robert Pstrokoński*

DYREKTOR DS. ROZWOJU CYFROWEGO: *Małgorzata Golińska*

BIURO REKLAMY: *reklama@wprost.pl, tel.: 22 347 50 00*

ADRES REDAKCJI: *Batory Office Building II,*

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa,

tel.: 22 347 50 00 (repcja), www.wprost.pl

Wydawca tytułu, spółka AWR „Wprost”,

należy do Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA

ISSN 02091747

NA PODSTAWIE ART. 25 UST. 1 PKT 1B PRAWA AUTORSKIEGO WYDAWCA WYRAŹNIE
ZASTRZEGA, IŻ DAJSZE ROZPOWSZECHNIANIE MATERIAŁÓW OPUBLIKOWANYCH
W TYGODNIKU „WPROST” JEST ZABRONIONE.

© WSZYSTKIE MATERIAŁY W TYGODNIKU CHRONIONE SĄ PRAWEM AUTORSKIM. WSZELKIE
PRAWA ZASTRZEŻONE. DAJSZE ROZPOWSZECHNIANIE TREŚCI ARTYKUŁU TYLKO
ZA ZGODĄ WYDAWCY. REGULAMIN I WARUNKI LICENCJONOWANIA MATERIAŁÓW
PRASOWYCH NA WWW.WPROST.PL/REGULAMIN/

stop
cafe

BUDZI APETYT NA ŻYCIE


ORLEN

NOWOŚĆ



Twoje śniadanie na ciepło!

Dostępne na wybranych stacjach ORLEN, o ofertę zapytaj sprzedawcę.